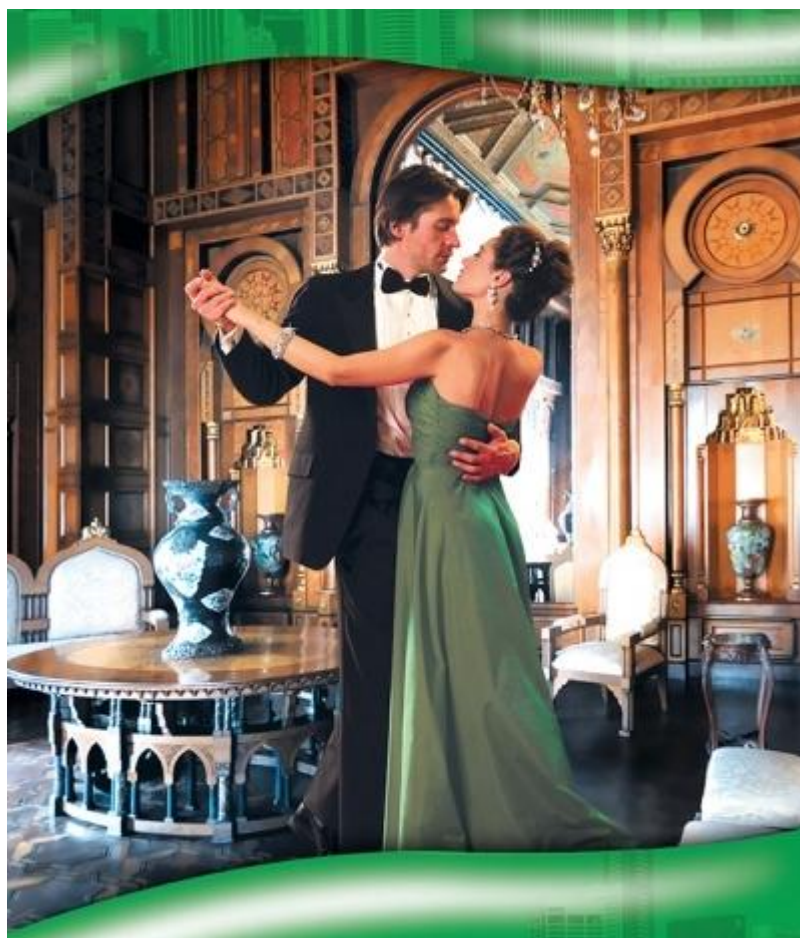




# *Sara Craven*



*Wśród londyńskich elit*

# ROZDZIAŁ PIERWSZY

Powiadają, że w życiu pewna jest tylko śmierć i podatki.

Marin Wade, zanurzwszy dosłownie przed minutą swoje ciało w gorącej wodzie, pomyślała z irytacją, że do tej krótkiej listy można śmiało dopisać trzeci pewnik: gdy tylko wejdiesz do wanny, zaraz rozdzwoni się telefon.

Tak jak w tej chwili.

Tym razem jednak nie musiała wyskakiwać z kąpieli, aby, ociekając wodą i przeklinając pod nosem, doczłapać do telefonu i podnieść słuchawkę, ponieważ - co za ulga! - to nie było jej mieszkanie, a co za tym idzie, to nie był jej telefon. Ktokolwiek dzwoni, niech się nagra na automatycznej sekretarce.

Przemknęło jej przez myśl, że być może to Lynne chce sprawdzić, czy wszystko u niej w porządku i czy już się rozgościła. Jeśli to rzeczywiście ona, po kąpieli i kolacji oddzwonię do niej, pomyślała Marin. Była bezgranicznie wdzięczna swojej przybranej siostrze, że jej pomogła w kłopotcie. A był to kłopot niemały.

Między Marin a Lynne były trzy lata różnicy. Od kiedy ich rodzice przeprowadzili się do Portugalii i zamieszkali w pięknej willi wygodnie usytuowanej tuż przy polu golfowym, Lynne zaczęła bardzo poważnie podchodzić do swojej roli starszej siostry. Nie ulegało wątpliwości, że gdy wróci w niedzielę wieczorem, od razu weźmie Marin w krzyżowy ogień pytań. Być może wtedy Marin dojdzie już do siebie i chętnie się jej zwierzy i wyżali. Jak na razie jednak resztkami siły tłumiała impuls, by wyć na całe gardło. Z bólu, smutku i gniewu.

Najgorsza ze wszystkiego była jednak niepewność. Dopiero w poniedziałek dowie się, czy jest jeszcze pracownicą agencji Ingram Organisation. Woląla zakładać, że szefowa ją wyleje; było to o wiele bardziej prawdopodobne. Wiedziała, że musi zacząć się rozglądać za jakimś mieszkaniem. Rzecz jasna, tutaj, u Lynne, było cudownie! Marin usłyszała z jej ust zapewnienie, że może tu zostać tak długo, jak tylko sobie życzy, nie chciała jednak nadużywać gościnności siostry. Poza tym za bardzo ceniła sobie samodzielność i samowystarczalność, by siedzieć komuś na głowie. Tak czy inaczej, mieszkanie Lynne szalenie przypadło jej do gustu. Sama łazienka, utrzymana w morskiej kolory-

style, prezentowała się wprost bajecznie. Leżąc w wielkiej wannie, człowiek miał wrażenie, że kąpie się w jakimś ciepłym, egzotycznym morzu. Do tego przestronny salon godny rozkładówki w ekskluzywnym magazynie o wystroju wewnątrz, kuchnia wyglądająca jak stacja kosmiczna oraz dwa idealnie eleganckie pokoje sypialne. Przebywając w tym miejscu, oddychało się luksusem.

Zagadką było, jakim cudem Lynne stać na tak wspaniały apartament. Pracowała jako osobista asystentka Jake'a Radleya-Smitha, właściciela jednej z najlepszych brytyjskich agencji obsługujących sferę *public relations* swoich klientów, głównie ze świata finansów. Jej pensja musiałaby jednak być naprawdę astronomiczna, aby pokryć koszty wynajmu tego imponującego lokum. Warto dodać, że poprzednie mieszkanie Lynne było zupełnie przeciętne.

Na czym tak naprawdę polega bycie „osobistą asystentką” bogatego szefa? Może ten apartament jest zapłatą za usługi, które Lynne mu świadczy?

Jestem głupia i obleśna! - zganiała siebie w myślach Marin. Przecież Lynne jest obłądnie zakochana w Mike'u, z którym w tej chwili jedzie do Kent, aby wreszcie poznać jego rodziców, a swoich przyszłych teściów. Poza tym jest silną, przebojową kobietą, która w życiu kieruje się żelaznymi zasadami. Nigdy, przenigdy nie zniżyłaby się do takiego poziomu. Absurdalną myśl sprzed kilku chwil Marin złożyła na karb zmęczenia. Miała za sobą koszmarny dzień.

Oparła głowę o miękkie zagłówek, zamknęła oczy i zaczęła kontemplować katastrofę, w którą nagle zamieniło się jej życie. Wiedziała, że nie jest bez winy. Popełniła szereg błędów.

Po pierwsze, niepotrzebnie przed wyjazdem wynajęła komuś swoje mieszkanie. Wtedy jednak nie zakładała, że sprawy mogłyby przybrać tak niefortunny obrót. Otrzymała wymarzone zlecenie - została sekretarką autorki bestsellerowych romansów, Adeli Mason. Praca była zaplanowana na co najmniej pół roku, więc Marin, podekscytowana niczym mała dziewczynka, była spokojna o swoją najbliższą przyszłość, którą widziała w różowych barwach.

- Sekretarka pani Mason poszła na urlop. Jej matka będzie miała niebawem poważną operację, więc córka chce ją otoczyć troskliwą opieką - oznajmiła szefowa Marin,

Wendy Ingram. - Adela Mason na razie jeszcze zbiera materiały tu, w Londynie, lecz wkrótce odlatuje do swojego domu na południu Francji, by zasiąść do pisania nowej powieści. W trakcie pracy twórczej nie może się obyć bez pomocnicy. Ponoć ktoś polecił jej naszą agencję, ale okazało się, że pani Mason jest wybredną klientką - zakończyła pani Ingram z kwaśnym grymasem.

- Adela Mason! - zawołała Marin z rewerencją w głosie. Jej oczy rozblęły. - Nie wierzę! To znakomita pisarka. Jestem jej wielką wielbicielek.

- I dlatego właśnie poleciłam jej twoją osobę, chociaż osobiście uważam, że jesteś zbyt młoda. Nie mam jednak wyjścia. Pani Mason odrzuciła już Naomi i Lornę. Mówi, że chce kogoś *simpatico* - zachnęła się Wendy. - Nie pozwól jednak, by twój entuzjazm względem jej twórczości literackiej pozbawił cię trzeźwego oglądu sprawy. Być może będziesz miała powyżej uszu książki, nad którą teraz pracuje, zanim zostanie ukończona. Poszukałam w internecie informacji na jej temat. Trafiłam na pouczający wywiad. Ponoć Adela Mason pisze wszystkie swoje książki ręcznie, specjalnym piórem na specjalnym papierze. Będziesz więc przepisywać jej rękopisy na komputer, a potem nanosić poprawki, które mogą się ciągnąć w nieskończoność.

Wendy Ingram zrobiła pauzę, by Marin przetrawiła jej słowa.

- Na twoją głowę spadną również - ciągnęła dalej - typowe obowiązki chłopca na posyłki, i nie tylko. Bycie jej sekretarką to tylko wierzchołek góry lodowej. Ona szuka kogoś, kto, cytuję, zapewnia „pełną obsługę”. Dopiero co ponownie wyszła za mąż, więc może przynajmniej wieczorami zaznasz chwili wytchnienia.

- Dla Adeli Mason zrobię wszystko! - zadeklarowała Marin z entuzjazmem. - Nic nie będzie dla mnie problemem.

- Chwileczkę, dziecko. Najpierw musisz pomyślnie przejść rozmowę o pracę - przypomniała jej szefowa. - Co wcale nie będzie łatwe.

Marin nie onieśmielił widok szalenie eleganckiej pisarki, która czekała na nią w swoim londyńskim mieszkaniu. Wielokrotnie widywała ją w prasie i w telewizji. Musiała przyznać, że pani Mason na żywo prezentuje się równie efektownie i atrakcyjnie, a jej czarny, lśniący bob to arcydzieło sztuki fryzjerskiej.

- Jest w tobie coś, czego nie dostrzegłam w innych kandydatkach - orzekła pani Mason, bezwiednie bawiąc się ogromnym diamentem zdobiącym jej obrączkę. - Pierwsza z nich sprawiała wrażenie, jakby nigdy w życiu nie trzymała w rękach książki, natomiast ta druga była po prostu... nieodpowiednia. - Pisarka otaksowała kandydatkę uważnym spojrzeniem, przesuwając wzrokiem po jej drobnym, szczupłym ciele i brązowych włosach odgarniętych z twarzy i związanych wstążką na karku. Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w jej twarz, ładną, lecz mało charakterystyczną i, co ważne, niepodkreśloną krzykliwym, wyzywającym makijażem. - Tak, jeśli świetnie posługujesz się klawiaturą, myślę, że dasz sobie radę. W przyszłym tygodniu wybieram się do Evrier sur Tarn. Spodziewam się od ciebie pełnej gotowości do towarzyszenia mi w podróży. Zanim Betty mnie porzuciła, aby się bawić we Florence Nightingale, dopilnowała wszelkich formalności związanych z przelotem. Jeśli jednak wynikną jakieś komplikacje, liczę na to, że się nimi zajmiesz.

Co prawda Marin nie spodobała się uszczypliwa uwaga na temat swojej poprzedniczki, ale przecież chyba tacy są artyści: kapryśni, złośliwi, traktujący z wyższością zwykłych zjadaczy chleba. Nie miała pojęcia, że niespełna miesiąc później z ust Adeli Mason usłyszy...

Znowu zawył telefon, przerywając jej rozmyślenia. Kto tak uporczywie wydzwaniania? „Wszyscy moi bliscy wiedzą, że wyjeżdżam na weekend - poinformowała ją Lynne, zanim się z nią pożegnała. - Zostawiłam też liścik mojemu szefowi, więc nikt nie powinien ci przeszkadzać”.

Marin dołała do wanny gorącej wody i kilka kropel perfumowanego olejku do kąpieli, po czym znowu zanurzyła się aż po szyję. To musi być cudowne, mieć takie życie jak Lynne! - rozmarzyła się. Być tak rozchwytywaną przez znajomych i przyjaciół, którzy co chwila dzwonią, by zaproponować ci wyjście do kina, restauracji, na drinka. I wspaniale mieć kogoś takiego jak Mike. Tak, to przede wszystkim, zdecydowała ze smutkiem, czując w sercu ukłucie zazdrości. Mam już dwadzieścia lat na karku, pomyślała, a na koncie nadal żadnego poważnego związku.

Nie żyła jednak jak zakonnica. Odkąd zamieszkała w Londynie, często umawiała się na randki, najczęściej podwójne. Mężczyźni, którzy zapraszali ją na kolację, prosili o



ponowne spotkanie. To znaczy, niektórzy. Czasami... Kiedy jednak prędzej czy później kontakt się urywał, dla Marin nie była to tragedia. Właściwie odczuwała pewną ulgę. Będąc z natury osobą nieśmiałą, trudno jej było zabłysnąć w towarzystwie, nie umiała flirtować ani brać udziału w błyskotliwych rozmowach, w których każde zdanie musi być żartobliwe bądź ironiczne. Nie miała również ochoty na krótkie, przelotne, powierzchowne romanse. Być może mężczyźni, z którymi się zadawała, wyczuwali to i dlatego wybierali dziewczęta mniej powściągliwe i poważne. Pewnego razu zapytała Lynne:

- Myślisz, że jestem dziwadłem?

- Bynajmniej, skarbie. Jesteś wyjątkową osobą. Kierujesz się w życiu pewnymi zasadami i wartościami. W dzisiejszym świecie to rzadkie i godne pochwały. Pewnego dnia przytrafi ci się wielka, prawdziwa miłość - zapewniła ją siostra.

Marin lubiła w myślach powtarzać sobie te słowa; działały na nią budująco i kojąco. Lynne była taką dobrą, serdeczną przyjaciółką. Wylewna, pogodna, pełna życia. Kubek w kubek jak jej ojciec, Derek Fanshawe, który sześć lat temu zakochał się w mamie Marin.

Ojciec Marin, Clive Wade, był zupełnie inny; cichy, spokojny, lecz niezwykle rodzinny i uczuciowy. Dzięki szczęśliwemu małżeństwu swoich rodziców, Marin miała wspaniałe dzieciństwo i poczucie bezpieczeństwa. Pan Wade był cenionym radcą prawnym, który, o ironio, specjalizował się w sprawach rozwodowych. Zwykł mówić, że ludzkie dramaty, z którymi styka się w pracy, każą mu zawsze doceniać własne szczęście i dbać o płomień domowego ogniska.

Pewnego dnia, zupełnie nagle, wszystko się skończyło. Pan Wade zasłabł na korytarzu sądu. Zanim dojechała karetka, zmarł na zawał serca. Wszyscy byli w szoku; nigdy nie skarżył się na zdrowie. Barbara Wade, matka Marin, która dotychczas była wiecznie uśmiechniętą kobietą z roziskrzonymi oczami, zupełnie się w sobie zapadła. Zamieniła się w ducha, który wraz ze stratą męża stracił chęć do życia. Znajomi pocieszali ją, że przynajmniej nie musi się martwić kwestiami finansowymi. Clive Wade sporo zarabiał i trafnie inwestował. Wszyscy dookoła doradzali jej, by sprzedała dom, zostawiając w nim wspomnienia, i zaczęła nowe życie.

Dopiero po trzech latach przyjaciółce, z którą pani Wade pracowała w sklepie odzieżowym typu *charity shop*, udało się wreszcie namówić ją na wspólny rejs po norweskich fiordach. Już pierwszego wieczoru podczas kolacji do ich stolika dosiadł się Derek Fanshawe, potężny mężczyzna z ujmującym, chłopięcym uśmiechem. Zanim statek dobił z powrotem do portu, Barbara ku swemu zdumieniu odkryła, że przywiązała się do Dereka i nie dręczy jej poczucie winy, że zdradza swojego zmarłego męża. Derek, wdowiec wychowujący samotnie córkę, nalegał na kontynuowanie znajomości. Z początku Marin z całych sił chciała znienawidzić nowego przyjaciela mamy. Uważała, że ta znajomość to profanacja pamięci o jej tacie. Okazało się jednak, że Derek doskonale rozumie rozterki Marin, a przede wszystkim jest wspaniałym człowiekiem. Wkrótce Marin całym sercem pokochała Dereka, tak samo jak jego córkę, Lynne, w której znalazła nie tylko siostrę, ale też wierną przyjaciółkę i zaufaną powierniczkę. Marin każdego dnia była wdzięczna losowi za to, że był dla niej tak łaskawy.

Znowu zabrzączał telefon.

- Dobrze, dobrze, już idę... - mruknęła pod nosem, wyszła z wanny, wytarła się białym, miękkim ręcznikiem, po czym się nim owinęła. Przeczesała palcami mokre włosy i przeszła bosą do salonu. W telefonie wcisnęła guzik automatycznej sekretarki. Usłyszała głos mężczyzny. Na pewno nie był to Mike.

- Lynne, podnieś słuchawkę! - rzucił mężczyzna rozkazującym tonem. - Sprawa pilna jak cholera.

Druga wiadomość była jedynie zarejestrowanym na automatycznej sekretarce głośnym westchnieniem, które zabrzmiało jak podmuch wiatru. Trzecia wiadomość była wymownym milczeniem. Chyba wreszcie ten nachalny typ dał za wygraną, pomyślała i odeszła od aparatu.

Po chwili zamarła w pół kroku. Serce podeszło jej do gardła. Ktoś przekręcał klucz w zamku! Usłyszała dźwięk otwierania i zamykania drzwi, a następnie odgłos niewątpliwie męskich kroków, coraz głośniejszych i bliższych...

Ogarnął ją paniczny strach. Rozejrzała się dookoła w poszukiwaniu jakiegoś twardego, ciężkiego przedmiotu, którym mogłaby się obronić przed intruzem.

Usłyszała jego naładowany gniewem głos.

- Lynne, na litość boską, ogłuchłaś czy co? Dzwonię do ciebie od...

Urwał nagle, nabierając głośno powietrza w płuca. Marin w pierwszej kolejności dostrzegła jego niesamowicie błękitne, szeroko otwarte ze zdumienia oczy. Kiedy ponownie się odezwał, jego głos był złowrogo cichy, przypominał syczenie jadowitego węża.

- Kim ty, do diabła, jesteś? I co tutaj robisz?

Marin odruchowo sprawdziła dłonią, czy nadal jest owinięta ręcznikiem.

- Mogę odwzajemnić pytanie - odparła lekko drżącym głosem.

Wiedziała już jednak, że mężczyzną, który wbija w nią zimne jak lód i ostre jak nóż spojrzenie, jest szef Lynne, Jake Radley-Smith.

- Bez żartów, kotku. Odpowiedz na moje pytanie, zanim zadzwonię na policję. Jak się tu dostałaś?

- Siostra pozwoliła mi tu zostać - wydukała.

- Siostra? Jaka siostra? - zdumiał się. - Lynne jest jedynaczką.

- Siostra przybrana - doprecyzowała. - Jej ojciec poślubił moją matkę...

- Ach, tak. Zapomniałem - burknął. Omiótł wzrokiem wnętrze mieszkania, przeczesując dłonią włosy, które były nieco rozwichrzone i dłuższe, niż nakazywały aktualne trendy w męskiej modzie. Marin pomyślała, że jednak korzystnie wygląda w tej fryzurze.

- Gdzie więc podziewa się Lynne? Muszę z nią natychmiast porozmawiać.

- Nie ma jej tutaj. Wyjechała na weekend do Kent. Podobno zostawiła panu informację...

Jego opalona twarz przybrała jeszcze bardziej surowy i pochmurny wyraz.

- Liczyłem na to, że złapię ją, zanim wyjedzie.

- Wróci w niedzielę wieczorem.

- To za późno. O wiele za późno - mruknął, zaciskając zęby i, jak zauważyła Marin, pięści.

Przypomniała sobie słowa Lynne: „Muszę się ulotnić, zanim Rad, ten pracoholik, wynajdzie kolejny powód, żebym została w Londynie, tak jak ostatnio, kiedy planowałam wypad do Kent. Rodzice Mike'a są gotowi pomyśleć, że ich unikam!”. Marin poczuła przypływ gniewu.



Uniosła głowę i oświadczyła:

- Tak się składa, że moja siostra ma własne życie i lepsze rzeczy do roboty niż siedzieć cały weekend w domu, na wypadek gdyby znowu zadzwonił pan do niej w kolejnej pilnej sprawie. Dla niej priorytetem jest narzeczony i spotkanie się z przyszłymi teściami, a nie spełnianie zachcianek swojego nachalnego szefa.

Zapadła ciężka cisza. Marin niemal słyszała przyspieszone bicie swojego serca.

- Gratuluję efektownej przemowy - odezwał się wreszcie Radley-Smith. - Panno...

- Wade. Marin Wade. Skoro już pan wie, że mojej siostry nie ma w domu, proszę opuścić to mieszkanie.

Zrobił kilka kroków w jej kierunku. W jej ciało wstąpiło dziwne napięcie. Przełknęła głośno. Widywała go czasem na zdjęciach w gazetach, na których nie prezentował się nawet w połowie tak imponująco, jak w rzeczywistości. Był niezwykle przystojny, lecz nie nadawał się na modela; miał nieco krzywy nos, prawdopodobnie w przeszłości złamany. Spojrzenie jego błękitnych oczu było wprost magnetyczne. A usta... nie, nawet nie chciała dłużej zatrzymywać na nich wzroku, zwłaszcza kiedy powoli ułożyły się w łagodny, lecz niebezpieczny uśmiech. Miał na sobie antracytowy garnitur, idealnie dopasowany do jego atletycznej sylwetki, szarą, lśniąca kamizelkę, śnieżnobiałą koszulę oraz bordowy krawat z jedwabiu. Patrząc na jego elegancki strój, uświadomiła sobie z zażenowaniem, że sama pod ręcznikiem jest zupełnie naga.

- Po pierwsze, zwracaj się do mnie po imieniu, droga Marin. A po drugie, nie możesz mnie wyprosić z mojego własnego mieszkania. To byłoby trochę nielogiczne, nieprawdaż?

- Z pana... to znaczy, z twojego mieszkania? - wydusiła z siebie przez ściśnięte gardło.

- To jest firmowe mieszkanie - wyjaśnił. - Formalnie należy do mnie. Udostępniam je zagranicznym klientom, którzy mają awersję do hoteli, nawet tych luksusowych. Użyłem je Lynne, ponieważ właściciel budynku, w którym mieszka twoja siostra, przeprowadza aktualnie remont generalny całej kamienicy. - Marin jęknęła w duchu. Nie miała o tym zielonego pojęcia! - Dziwię się, że nie raczyła ci o tym wspomnieć - dodał niezadowolony.

- Nie zdążyła. Nie spodziewała się, że przyjadę. Dwie godziny temu, zupełnie bez uprzedzenia, zadzwoniłam do niej z lotniska i powiedziałam, że... mam problem.

- A co się stało? - zapytał, marszcząc czoło. - Ktoś cię okradł na wakacjach?

- Nie. Wyjechałam do pracy we Francji, ale... wynikły pewne komplikacje. Musiałam wrócić. Problem w tym, że moje własne mieszkanie będzie zajęte przez kolejnych pięć miesięcy.

- Rozumiem - odrzekł powoli. - Reasumując, jesteś bezdomna, bezrobotna i bez grosza przy duszy.

- Serdecznie dziękuję za tę jakże budującą diagnozę - rzuciła obruszona.

Najgorsze było to, że w gruncie rzeczy tak właśnie wyglądała brutalna prawda.

- Wobec tego - zaczął, kompletnie ignorując wypowiedź Marin - moglibyśmy ubić korzystny dla obu stron interes. - Zatopił w niej uważne spojrzenie i zapytał: - Ile byś sobie zażyczyła za wieczór spędzony w moim towarzystwie?

Marin poczuła w piersi gwałtownie rosnącą falę oburzenia.

- Za kogo ty mnie masz? - wycedziła przez zaciśnięte zęby. - Nie jestem...

- Wiem, że nie jesteś - przerwał jej, śmiejąc się beczelnie. - Nie da się jednak ukryć, że w tym ręczniku wyglądasz bardzo ponętnie... à propos, pozwolę sobie zauważyć, że odrobinę się osunął.

Policzki Marin natychmiast spąsowiały. Zażenowana, szybko poprawiła ręcznik, przeklinając w myślach jego spostrzegawczość.

- Moja propozycja jest wolna od wszelkich podtekstów - zapewnił spokojnym głosem. - Muszę się dziś wieczorem pokazać na pewnym przyjęciu, a kobieta, która miała mi towarzyszyć, niestety padła ofiarą jakiegoś paskudnego wirusa. Sam nie pójdę, to wykluczone. Właśnie w tej sprawie usiłowałem skontaktować się z Lynne. Miałem nadzieję, że da się namówić na wyjście. Byłem gotów hojnie zapłacić jej za tę fatygę. Ale skoro jest nieobecna, moją propozycję kieruję do ciebie.

- Chyba żartujesz! - wypaliła natychmiast.

- Bynajmniej. Mówię całkowicie poważnie. A więc?

- Za żadne skarby!

- Doprawdy? Odwołaj się do swojego rozsądku. Czy naprawdę możesz sobie pozwolić na odrzucenie kilkuset funtów śmiesznie łatwego zarobku?

Marin w milczeniu trawiła jego słowa. Kilkaset funtów... Ujrzała je oczami wyobraźni. Wiedziała, jak bardzo potrzebuje teraz zastrzyku gotówki. Korciło ją, by powiedzieć „tak”.

- Nie cierpię wszelkich imprez - oznajmiła zgodnie z prawdą. - Nie umiem paplać o niczym i sztucznie się uśmiechać. Jestem sztywna jak kołek i marzę tylko o powrocie do domu. Zainwestuj te pieniądze w kogo innego.

- Gdybyś przystała na moją propozycję - odrzekł, nie dając za wygraną - byłbym skłonny przymknąć oko na przewinienie, którego dopuściła się Lynne. Złamała regulamin, który zabrania wpuszczania do tego mieszkania osób spoza firmy. Mógłbym nawet pozwolić ci tu mieszkać do czasu, aż twoje życie wróci na właściwe tory. - Na jego usta wypłynął uśmiech, zimny i złowrogi. - Wskocz więc w jakąś małą czarną i chodź ze mną na to przeklęte przyjęcie.

- Wykluczone - warknęła. - Ja nie mam żadnej małej czarnej, za to ty na pewno masz mnóstwo przyjaciółek, które pójdą z tobą z dziką rozkoszą - dodała z jadem, przypominawszy sobie, jak Lynne kiedyś zdradziła, że lista kochanek jej szefa jest ponoć legendarnie długa.

Radley-Smith machnął ręką i westchnął.

- Jest już za późno, żeby wydzwaniać po ludziach. Poza tym ty jesteś nieznaną twarzą, co bardzo mi odpowiada. - Spojrzał na nią tak, jakby ją chciał zahipnotyzować. - Przestań się sprzeczać, bądź grzeczną dziewczynką i idź się ubrać. W cokolwiek! Wszystko mi jedno - rzucił zniecierpliwiony. - Jeśli nie masz pod ręką żadnej ładnej szmatki, pożycz coś od Lynne. Zdaje się, że nosicie ten sam rozmiar.

Marin miała wrażenie, że jego wzrok przenika przez gruby ręcznik, którym była owinięta. Poczwała w ciele dziwne ciepło. Zrobił kilka kroków w jej kierunku. Poruszał się jak dzika pantera.

- Rzecz jasna, możemy również darować sobie tę głupią imprezę i zostać tutaj. Tylko ty i ja - dodał zmysłowym tonem. - W lodówce jest szampan. Napijemy się, odprężymy, opowiesz mi o sobie i swoich problemach. Nie będziesz musiała zawracać so-

bie głowy przebieraniem. W tym ręczniku wyglądasz rozkosznie. Bez niego zapewne jeszcze bardziej.

Marin poczuła nagły przyływ paniki. Zostać sam na sam z tym facetem? Tym niebezpiecznym drapieżnikiem? Wszystko, tylko nie to!

- Ten scenariusz odpada. - Pokręciła energicznie głową. - Wolę już pójść na to przekłete przyjęcie.

Radley-Smith uśmiechnął się w taki sposób, że miała ochotę go spoliczkować.

- Mądra decyzja, skarbie. Poczekam cierpliwie, choć niechętnie, aż się wyszykujesz. Jeśli będziesz potrzebowała pomocy, zawołaj mnie. Zawsze służę dobrą radą.

- W porządku - syknęła, kipiąc złością. - Zawołam cię, kiedy tylko przyjdzie mi do głowy wystarczająco obraźliwy epitet. Choć nie wiem, czy takowy w ogóle istnieje.

Zaciskając palce na ręczniku, odwróciła się na pięcie i przemaszerowała do pokoju siostry.

TLR

## ROZDZIAŁ DRUGI

Chyba postradałam zmysły! - zawołała w duchu, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Zerknęła w lustro i skrzywiła się na widok swojego odbicia. Zrobić się na bóstwo? Nie-możliwe. Czymkolwiek się umaluję, cokolwiek na siebie włożę, zawsze będę wyglądała zwyczajnie i nieciekawie, pomyślała ponuro. Nikt nie uwierzy, że jestem aktualną partnerką Jake'a Radleya-Smitha.

Wyciągnęła z walizki swoją ulubioną sukienkę - oliwkową, jedwabną, wiązaną w talii. Miała nadzieję, że gdy ją włoży, poczuje przyływ pewności siebie, tak jak zwykle się to działo. A jeśli nie? Jeśli nie, i tak będzie musiała wyjść. Poddawszy swoją niewesołą sytuację życiową trzeźwej ocenie, doszła do wniosku, że rzeczywiście potrzebuje środków do życia oraz dachu nad głową. Wszelkie imprezy zawsze były dla niej istną torturą, lecz tym razem jej cierpienie się opłaci. I to dosłownie.

Usłyszała głośnie pukanie do drzwi.

- Długo jeszcze?

Co za nieznośny typ! Despotyczny. Impulsywny. Traktujący kobiety instrumentalnie, jak niewolnice. Ewidentnie z nadmiarem testosteronu. I, dodała niechętnie w myślach, seksapilu. Zwłaszcza ta ostatnia cecha budziła jej wielki niepokój.

- Jeszcze minutę - odparła oschle, wsuwając stopy w srebrne sandaalki na wysokim obcasie.

Chwyciła w dłoń małą torebkę na długim łańcuszku, dopasowaną kolorystycznie do butów, oraz kremowy szal z frędzlami. Spodziewała się usłyszeć z ust Radleya-Smitha jakiś komentarz, może nawet komplement. Gdy jednak wyłoniła się z pokoju, on obrzucił ją tylko przelotnym spojrzeniem i skinął głową. Rzecz jasna, nie zależało jej na jego aprobacie. Broń Boże! Mimo to byłoby miło...

- Nie wiedziałam, co zrobić z włosami. - Bezwiednie dotknęła kaskady swoich idealnie prostych, lśniących jak woda włosów, które spływały jej po plecach aż do łopatek. - Miałam dylemat. Związać je czy...

- Jest w porządku - przerwał zniecierpliwiony i poprowadził ją do drzwi. - Chodźmy już.



Na ulicy czekała na nich czarna taksówka. Usiedli obok siebie na tylnym siedzeniu. Aby przerwać napiętą ciszę, która tylko potęgowała jej zdenerwowanie, Marin zapytała:

- Kto organizuje to przyjęcie?

- Szef firmy Torchbearer Insurance, która jest jednym z naszych głównych klientów.

- Czy będzie tam dużo ludzi?

- Raczej tak. Teraz moja kolej. Ile masz lat?

- Dwadzieścia.

- Wyglądasz na mniej. Czym się zajmujesz zawodowo?

- Jestem sekretarką. Pracuję dla agencji Ingram Organisation,. Dostaję zlecenia na terenie Wielkiej Brytanii i Europy. Posiadam dobrą znajomość komputera, mówię po francusku i trochę po włosku. Rezerwuję również stoliki w restauracjach, odpisuję na korespondencję w imieniu osoby, dla której w danej chwili pracuję, wysyłam kwiaty, organizuję podróże, odbieram ubrania z pralni chemicznych, czasem nawet robię zaku...

- Błagam, dość! - zawołał. - Zmęczyła mnie ta wyliczanka. Twoja praca to istny kierat!

- Lubię to, co robię.

- W takim razie jak to się stało, że zostałam zwolniona? W restauracji nie było już wolnych stolików? A może ktoś zamiast róż wołał dostać tulipany?

Marin przełknęła głośno. Rana była zbyt świeża, by rozbawił ją jego komentarz.

- Zaszło pewne nieporozumienie - odpowiedziała powoli.

- Rozumiem.

Nie, nic nie rozumiesz, odparła w myślach. Nie miała jednak zamiaru zwierzać się obcemu mężczyźnie. Aby jak najszybciej zmienić temat, zapytała:

- Jak mam się do ciebie zwracać przy ludziach? Bo chyba nie „panie Radley-Smith”. - Szczerze mówiąc, właśnie taką formę, narzucającą pewien dystans, wolałaby najbardziej. - Lynne mówi o tobie „Rad”...

- Nie tylko ona. „Rada” toleruję jedynie w pracy. W bliższych relacjach preferuję „Jake'a”. Zwracaj się do mnie po imieniu, Marin.

Nie chcę być z tobą w bliższych relacjach! - odpowiedziała mu w duchu.

Dojechali na miejsce. Przyjęcie zostało zorganizowane w ekskluzywnym klubie Arundel, tuż przy ulicy Pall Mall. Hol, w kątach którego ustawione były klasycystyczne rzeźby, przywodził na myśl kościół lub muzeum. Marin skrzywiła się, słysząc stukot swoich obcasów o marmurową podłogę, odbijający się echem od ścian i wysokiego sufitu; resztę drogi przeszła na palcach. Weszli na górę po schodach, a potem skręcili w lewo, w szeroki korytarz wyłożony niebieskim dywanem. Po bokach co kilka kroków znajdowały się alkowy, gdzie ustawione były połączane foteliki obite bordowym pluszem oraz również połączane stoliki, na których stały wazony ze sztucznymi kwiatami. Marin nie przypadł do gustu ten wystrój.

Jake Radley-Smith wskazał drzwi po prawej stronie.

- Szatnia dla kobiet - rzucił lakonicznie. - Może zechcesz zostawić tam swój szal.

- Tak, chyba powinnam.

Weszła do środka i zanurzyła się w zgiełku ożywionych rozmów oraz chmurze drogich perfum. Oddając swój szal, czuła na sobie krytyczny wzrok dwóch dziewcząt stojących obok. Kątem oka dostrzegła na ich ustach szydercze uśmieszki.

One mają rację, pomyślała. Nie pasuję ani do tego miejsca, ani tego świata. Przed lustrem poprawiła włosy i nałożyła na usta nową warstwę pomadki. Wróciła na korytarz. Ujrzała Jake'a stojącego kilka metrów dalej. Z marsową miną wpatrywał się w wielki, ponury pejzaż zawieszony na ścianie.

Podeszła do niego, z trudem przywołując na usta wątlý uśmiej.

- Jestem gotowa.

Zatopił w niej przenikliwe spojrzenie.

- Śmiem wątpić.

Chwycił ją za ramiona, zaciągnął siłą do najbliższej alkowy i pocałował w usta, bardzo powoli, lecz namiętnie. Marin poczuła, że ma nogi jak z waty, a jej mózg zamienia się w galaretę. W ostatniej chwili zwalczyła zupełnie niezrozumiałą, jakby obcą pokusę, by przyłgnąć do jego silnego torsu i zupełnie się zatracić w tym zmysłowym doznaniu.

Odsunęła się gwałtownie.

- Co to, do diabła, miało znaczyć? - warknęła oburzona.

- Modyfikacja wizerunku publicznego - odrzekł spokojnie, jak rasowy spec od *public relations*, którym zresztą był. - Ludzie zazwyczaj nie widują mnie w towarzystwie kobiet, które wyglądają na tak... nietknięte, nieużywane.

- Wyglądam na „nieużywaną”? - Była dotknięta do żywego. - Po pierwsze, nie jestem przedmiotem, a po drugie, wcale nie chciałam tu przychodzić! To był twój pomysł, a nie mój.

- Spokojnie, nie ma się o co obrażać. - Uśmiechnął się do niej jak do dziecka. - Grunt, że podziałało. - Spojrzał z satysfakcją na jej lekko opuchnięte od pocałunku usta i zamglone oczy.

Marin usiłowała wymyślić jakąś ciętą ripostę, ale bezskutecznie. Wziął ją za rękę i zaprowadził do uchylonych drzwi na końcu korytarza. Weszli do ogromnej sali, jasno oświetlonej i wypełnionej po brzegi ludźmi, tak wystrojonymi, że Marin znowu poczuła się szarą myszką. Wszyscy goście rozmawiali podniesionymi głosami, by przebić się przez muzykę kwartetu smyczkowego grającego Mozarta.

- Dobrze, że wpadłeś, Rad! - zawołał ktoś z tłumu. - Muszę z tobą pogadać.

- Ja też - zawtórował ktoś inny.

W mgnieniu oka otoczyła ich gromada mężczyzn, którzy zaczęli po kolei witać się z Jake'em. Po chwili grupka kolegów wchłonęła go, puścił jej dłoń i zniknął za szczelnym murem szytych na miarę garniturów. Marin odetchnęła z ulgą. Z tacy, którą niósł przechodzący obok kelner, wzięła szklankę soku pomarańczowego i zaczęła się rozglądać za ustronnym zakamarkiem. Tłum zaczął dryfować ku długim stolom bufetowym, na których piętrzyło się jedzenie. Lawirując między ludźmi, dotarła na mały balkonik ogrodzony żelazną balustradą. W duchu liczyła na to, że Radley-Smith w ferworze towarzyskich świadczeń zapomni o jej istnieniu i przypomni sobie, gdy trzeba już będzie wracać do domu. Nie wiedziała, jak długo stała sama na balkonie, zatopiona w ponurych myślach. Ocknęła się dopiero wtedy, gdy zaczynało się już robić ciemno i zimno. Słońce zaszło za horyzontem i zerwała się wieczorna bryza. Marin przeszedł dreszcz, odwróciła się, by wrócić na salę i poszukać jakiegoś kąta, w którym można się zaszyć.

Zatrzymała się nagle. Ktoś zatarasował jej drogę.

Wysoka kobieta w czarnej sukience, która ewidentnie pochodziła od jakiegoś słynnego francuskiego projektanta. Prosty, surowy krój kreacji zmiękczał diamentowy naszyjnik zawieszony na jej długiej szyi. Miała na oko trzydzieści lat, była szczupła, wręcz koścista, zresztą jak większość kobiet obecnych na przyjęciu. Jej blond włosy upięte były w perfekcyjny kok. Była porażająco piękna. W spojrzeniu jej zielonych oczu nie było jednak ani odrobiny ciepła.

- Proszę wybaczyć, lecz czy raczyłaby mi pani powiedzieć, kim pani jest? - Jej sposób wypowiedzi był przesadnie grzeczny, lecz ton wyniosły. - Wydaje mi się, że nie figurowała pani na liście gości.

- Ona przyszła ze mną, Diano - oznajmił Jake, który nagle zmaterializował się za plecami kobiety. Podszedł do Marin, objął ją w talii swoim silnym ramieniem i przycisnął do siebie. - Nazywa się Marin Wade. Kochanie, oto nasza gospodyni, pani Halsay.

- Ach, naturalnie! - Pani Halsay zaśmiała się teatralnie. - Powinnam się była domyślić. Na zaproszeniach Jake'a zawsze widnieje adnotacja: „wraz z partnerką”, bez precyzowania, o kogo chodzi. Jego życie towarzyskie to istna karuzela, nie sposób nadażyć za imionami, nazwiskami... Proszę mi więc wybaczyć to *faux pas*. - Obdarzyła Marin uśmiechem równie szerokim, co sztucznym. - Powiedz mi, mój drogi, gdzie znalazłeś to uroczne dziecko?

Jake wzruszył ramionami.

- Powiedzmy, że zeswatał nas szczęśliwy przypadek.

Diana Halsay wyduła wargi.

- Cóż za barbarzyństwo z twojej strony, że pozwoliłeś jej tu sterczeć w samotności, podczas gdy dookoła grasuje tylu drapieżnych samców.

- Bez obaw - odrzekł Jake. - Rozstałem się z Marin tylko na moment. Zresztą cały czas miałem ją na oku.

Usłyszawszy to zdanie, Marin poczuła się dziwnie.

- No, cóż - kobieta znowu posłała Marin coś na kształt uśmiechu, jednocześnie unosząc sceptycznie jedną brew - pilnuj jej, bo następnym razem może nie mieć tyle szczęścia. A teraz idź ją nakarmić i przedstawić towarzystwu. Wszyscy wprost nie mogą się doczekać, aż ją poznają.

Jej szczupła, upięścieniona dłoń spoczęła na ramieniu Jake'a. Z tego gestu, a także emocji kłębiących się w jej oczach Marin domyśliła się, że nie są jedynie znajomymi. Po kilku chwilach kobieta odplynęła w głąb sali.

- Urocze dziecko? - powtórzyła Marin z urazą w głosie. - Jak śmiała tak się o mnie wyrazić...

Usta Jake'a wykrzywił grymas.

- Za trzydzieści lat, skarbie, będziesz wspominała jej słowa z nostalgią - odrzekł protekcyjnym tonem. - Widzę, że głód psuje ci humor. Chodź coś przekąsić.

Pociągnął ją za ramię. Ani drgnęła. Stała nieruchomo, jak wmurowana w ziemię.

- Wolałabym zjeść w domu. Sama.

- Jeszcze nie wykonałaś swojego zadania - przypomniał jej ostrzejszym tonem.

Niechętnie dała się zaprowadzić do bufetu. Na jej talerzu wylądował gotowany na parze łosoś, majonez z homara i babeczki *vol-au-vent* z krewetkami, a wszystko to z dodatkiem egzotycznych sałatek. W jej dłoni natomiast, wbrew jej protestom, pojawił się kieliszek szampana.

- To jeden z najlepszych wynalazków ludzkości - zachwycił się Jake trunkiem. - Wino, które można pić o każdej porze dnia i nocy.

Marin zamoczyła usta w szampanie, a potem, bez pośpiechu, lecz ze smakiem, uporała się ze swoją kolacją.

- Musisz teraz poznać kilka osób - powiedział Jake eufemistycznie, znał bowiem prawie każdą osobę obecną na przyjęciu.

Natomiast, jak się okazało, Diana nie przesadziła - rzeczywiście wszyscy chcieli poznać jego tajemniczą towarzyszkę.

Gdy położył swoją ciężką dłoń na jej ramieniu, Marin przestraszyła się, że to tylko spotęguje jej treść, lecz, o dziwo, dodało jej otuchy. Krążyła po sali, poznając co chwila nowych ludzi. Twarze zmieniały się jak w kalejdoskopie. Wdawała się w krótkie pogawędki, uprzejmie uśmiechała, śmiała z żartów i anegdot. Nie deprymowały jej nawet ciekawskie spojrzenia wszystkich kobiet.



Jedną z ostatnich osób, którą poznała, był dyrektor firmy Torchbearer Insurance, Graham Halsay. Był to wysoki mężczyzna z lekką nadwagą, lecz miał przystojną, sympatyczną twarz.

- Rad, kapitalnie znowu cię widzieć! - odezwał się mężczyzna jowialnym tonem, w którym Marin wyczuła fałszywą nutę. - Musimy zamienić parę słów na temat naszej nowej kampanii. Problem w tym, że mam wypełniony grafik na następny tydzień. - Po chwili namysłu dodał: - Mam pomysł. Diana zaprosiła kilka sposób na weekend do Queens Barton. Może wpadłbyś do nas? Pogadalibyśmy sobie w cztery oczy, w ciszy i spokoju, dzięki czemu ominie nas obowiązkowa lekcja wychowania fizycznego, którą moja żona zawsze wszystkim funduje.

Zaniósł się gromkich śmiechem, po czym przeniósł spojrzenie na Marin.

- Rzecz jasna, moja małżonka nalega, abyś przyjechał z panną... - podrapał się po głowie, wyteżając pamięć - panną Wade! Bardzo się pani spodobała Dianie. No więc, mogę liczyć na waszą obecność?

Marin zeszywniała. Już otwierała usta, by odrzucić zaproszenie, lecz nagle poczuła, jak Jake nieco mocniej zaciska dłoń na jej ramieniu. Wiedziała, co ten gest oznacza. Miała siedzieć cicho.

- Dzięki, Graham - odparł Jake z uśmiechem. - Będziemy zaszczyceni. Z przyjemnością pokażę Marin waszą posiadłość.

- Kapitalnie! Cieszę się ogromnie. Do zobaczenia w przyszły piątek.

Kiedy dyrektor zniknął im z pola widzenia, Marin odezwała się półgłosem:

- Jaką mam sobie wymyślić wymówkę? Nagły atak grypy czy zatrucie pokarmowe? Może jeśli rzucę podejrzenie na majonez z homara, pan Halsay będzie się czuł zbyt winny, by badać sprawę...

Usta Jake'a zamieniły się w cienką, prostą linię.

- Wszelkie wymówki będą zbędne - syknął. - Przyjąłem zaproszenie w imieniu nas obojga. Przyszły weekend spędzimy w Queens Barton - zaordynował stanowczo. - Zrozumiano?

- Ani mi się śni! - zawołała Marin i próbowała się od niego odsunąć, lecz jego dłoń jeszcze mocniej zacisnęła się na jej barku.

Nachylił się do niej i pogładził kciukiem jej policzek. Jego usta się uśmiechały, lecz oczy przypominały kostki lodu. Musnął wargami jej ucho i szepnął:

- Nie będziemy o tym dyskutować publicznie, kochanie. A teraz uśmiechnij się do mnie, z uczuciem, ale nieco nieprzytomnie, jakbyś marzyła już tylko o tym, by znaleźć się w łóżku. Ze mną.

Nie miała pojęcia, jak to zrobić. Do łóżka chodziła zawsze sama. Wyjątek robiła jedynie dla dobrej książki. Z całą pewnością nie zrobiłaby go dla tego tyrana! Przywołała na usta sztuczny uśmiech, w środku kipiąc ze złości.

Jake skinął głową.

- Idziemy.

Wyszli z sali. Marin odebrała z szatni szal, w milczeniu zeszła na dół po schodach, wsiadła do taksówki i wcisnęła się w kąt, jak najdalej od niego.

- No, dobrze - westchnął Jake. - W czym problem?

- Może wyglądam na młodszą, niż jestem w rzeczywistości, ale wyobraź sobie, że nie jestem idiotką. Przywlokłeś mnie na to przekłete przyjęcie, aby zamydlić oczy panu Halsayowi, bo... masz romans z jego żoną! Zawsze uważałam, że niczym nie da się usprawiedliwić rozbijania małżeństwa. To zbrodnia! Żałuję, że ci w tym pomogłam.

- Brawo, Marin. Wspaniała mowa oskarżycielska - ironizował, wyraźnie rozbawiony, co jeszcze mocniej ją rozdrażniło.

- To cię śmieszy? - zapytała, zdumiona jego reakcją. - Nie obchodzi cię, że ranisz niewinnych ludzi?

- Uwierz mi, że nic takiego nie robię.

Marin prychnęła pogardliwie.

- Chcesz mi wmówić, że nic cię nie łączy z panią Halsay?

- Owszem, miałem romans z Dianą - zaczął spokojnym tonem - ale to miało miejsce półtora roku temu, kiedy jeszcze nazywała się Diana Marriot. Polowała wówczas na bogatego męża, a ja nie uznaję małżeństwa, co zresztą powiedziałem jej już na samym początku. Diana jednak liczyła na to, że zdoła zmienić moje poglądy, najpierw prośbami, a potem szantażem. Przeliczyła się.

- Ale nie zaprzeczysz, że to ze względu na nią zaciągnąłeś mnie na to przyjęcie! - zaatakowała go Marin.

- Nawet nie będę próbował. Gdy Diana wreszcie sobie uprzytomniła, że nie żartowałem, zaczęła szukać zamiennika. I tak oto znalazła Grahama, który był wówczas świeżo po paskudnym rozwodzie i z chęcią przygarnął piękną, młodą kobietę i wziął z nią ślub. Rzecz jasna, do mnie zaproszenie na ceremonię nie dotarło; sądzę, że nie z winy poczty - dodał sardonicznym tonem. - Po kilku miesiącach przysłała mi jednak zaproszenie na przyjęcie, na którym, jak doskonale wiedziała, i tak bym się pojawił. - Westchnął ciężko. - Tamtego wieczoru była już po kilku drinkach. Wylała się z niej cała prawda. Przyznała, że wyszła za Grahama tylko dlatego, że ja nie byłem dostępny, lecz teraz rozumie, dlaczego jego pierwsza żona porzuciła go na rzecz jakiegoś młodszego faceta, bardziej... ekscytującego w sypialni. Diana oświadczyła, że właśnie z tego powodu nasze bliskie relacje powinny zostać wskrzeszone. Zastrzegła tylko, że niezbędna będzie dyskrecja, ponieważ Graham, odkąd porzuciła go pierwsza żona, jest obsesyjnie zazdrosny. Kiedy stanowczo odrzuciłem jej ofertę, wmawiała mi, że kłamię i nadal jej pragnę.

- A... pragnąłeś?

- Przecież ją widziałeś - odrzekł lakonicznie. - Nie istnieje chyba mężczyzna, którego by nie pociągała. Zawsze jednak wiedziałem, że Diana może mi bardzo skomplikować życie. Jej propozycja jedynie mnie w tym utwierdziła. Powtarzałem „nie”, dopóki nie dotarło do niej, że naprawdę jej nie chcę. A wtedy z jej ust padła ohydna pogróżka...

Marin słuchała go z zapartym tchem.

- Jak brzmiała ta pogróżka?

- Wmówi Grahamowi, że to ja znowu próbuję ją uwieść, przez co Torchbearer Insurance natychmiast zerwie umowę z moją firmą. Od tamtej pory dbam o to, by zawsze mieć towarzyszkę na każdej imprezie, na której obecna będzie Diana, aby zapobiec wszelkim domysłom i niepożądanym sytuacjom. I właśnie dlatego - westchnął ciężko - w przyszły weekend wybierzesz się ze mną do Queens Barton, chociaż ani ty, ani ja nie mamy na to najmniejszej ochoty.

Taksówka dojechała na miejsce. Jake wyłowił z kieszeni portfel, wyjął banknot i zapłacił kierowcy.

- Szczegóły omówimy w domu, przy kawie i drinku.

- Nie! - zaprotestowała. Po chwili dodała bardziej uprzejmym tonem: - To znaczy, uważam, że to nie jest konieczne.

- A ja mam skrajnie odmienną opinię. Przecież nie masz czym otworzyć drzwi.

- Jak to? Kluczami...

- Kluczami, których zapomniałaś wziąć przed wyjściem? - Spojrzał na nią rozba-  
wiony.

Przez chwilę grzebała w torebce. Miał rację. Co za kretyński błąd! - wyrzucała so-  
bie w myślach, maszerując w milczeniu do mieszkania. Jake otworzył drzwi swoim ze-  
stawem kluczy i przepuścił ją w drzwiach.

- Lubię, kiedy w mojej kawie pływa kilka kropel brandy. Preferuję również kawę  
przefiltrowaną, czarną i bez cukru - wyjaśnił skwapliwie. - Skoro świat jest teraz przeko-  
nany, że jesteśmy parą, musisz zapamiętać tego typu informacje.

- My, parą? Absurdalny pomysł - odburknęła Marin.

„Chyba nie myślisz, że jakikolwiek mężczyzna mógłby mieć ochotę na taką chudą,  
małą zdzirę jak ty?”. Wspomnienie tych okrutnych słów znowu piekielnie ją zabolalo.  
Okrutnych czy prawdziwych?

- Założę się, że twoja była dziewczyna nie dała się nabrać.

- Wobec tego następnym razem musisz się bardziej postarać.

- Nie będzie żadnego następnego razu! - Posłała mu gromiące spojrzenie. - Przykro  
mi, że pani Halsay zatruwa ci życie, lecz nasza idiotyczna umowa ograniczała się do jed-  
nego wieczoru. Nie miałeś prawa przyjąć zaproszenia w moim imieniu! Mogłam prze-  
cież mieć inne plany.

- Och, wybacz mi - syknął z drwiną. Z jego błękitnych oczu bił chłód. - Odniosłem  
jednak wrażenie, że jesteś bezdomna i splukana. Nie przyszło mi do głowy, że masz za-  
miar w obecnej sytuacji prowadzić bujne życie towarzyskie.

- Może i nie - przyznała ponuro - ale to nie znaczy, że mam ochotę przez dwa dni  
odgrywać rolę twojej nowej dziewczyny tylko po to, aby cię chronić przed twoją opętaną  
dziką żądzą byłą kochanką!

Jego twarz przeciął niesympatyczny uśmiech. Uniósł ironicznie brew i zapytał:

- Mam więc rozumieć, że nie masz również ochoty na dwa tysiące funtów, które jestem ci gotów zapłacić za tę drobną przysługę?

Marin na chwilę odebrało mowę.

- Dwa tysiące? Chyba się przejęzyczyłeś...

- Bynajmniej. Dwa tysiące - powtórzył.

- Ta dziewczyna, z którą miałeś dzisiaj pójść na przyjęcie, za tydzień na pewno będzie już zdrowa. Zabierzesz ją ze sobą, a przy okazji zaoszczędzisz te dwa tysiące...

- Nic z tego - przerwał jej. - To ty zostałeś osobiście zaproszona, a nie ona. - Marin otworzyła usta, lecz nie była w stanie wydusić z siebie ani słowa. - Bądź tak uprzejma i zrób nam wreszcie kawę.

To najgorszy dzień w moim życiu, lamentowała w duchu, sunąc w stronę kuchni.

TLR



## ROZDZIAŁ TRZECI

W kuchni Marin przełączyła się na tryb autopilota. Zaparzenie kawy było czynnością, którą mogłaby wykonać nawet przez sen. Gdy intensywny aromat naparu nasycił powietrze, starannie rozstawiła na tacy filiżanki i spodki z białej porcelany, a następnie oparła się o marmurowy blat kuchenny, wpatrując się nieobecny wzrokiem w przestrzeń.

Perspektywa weekendowego wyjazdu przejmowała ją grozą. Kiedy Jake będzie dyskutował o interesach z panem Halsayem, ona będzie skazana na towarzystwo Diany. Krew w jej żyłach mroziła jednak wizja czego innego - wspólnych nocy z Jake'em. Jej umysł buntował się przed rozmyślaniami na ten temat.

Wzięła głęboki wdech, postawiła dzbanek z kawą na tacy i wróciła do salonu.

Jake siedział rozparty na sofie; zdążył zdjąć marynarkę i krawat oraz rozpiąć kamicelkę. Na stoliku przed nim stał kieliszek brandy, obok którego Marin postawiła tacę. Napełniła obie filiżanki kawą i usiadła naprzeciwko niego w pozie grzecznej uczennicy: ze złączonymi stopami i dłońmi na kolanach.

- Wyglądasz, jakbyś przyszła na rozmowę w sprawie pracy - zauważył rozbawiony.  
- Chociaż właściwie tak właśnie jest, nieprawdaż? Omówmy zatem wysokość wynagrodzenia oraz warunki umowy. Oferuję ci dwa tysiące funtów za dalsze odgrywanie roli mojej dziewczyny, na takiej samej zasadzie, jak robiłaś to dziś wieczorem, lecz tym razem nieco dłużej: od piątkowego popołudnia do niedzieli wieczór. Nasza umowa, dopóki obowiązuje, nie może zostać zmieniona. To wszystko.

Marin uśmiechnęła się blado.

- W twoich ustach to brzmi tak prosto...

- Bo to jest proste.

- Wprost przeciwnie! - Postanowiła zwerbalizować swoją największą obawę: - Jeśli pojedziemy tam razem, wszyscy będą uważać, że... jesteśmy parą.

- Gratuluję, odkryłaś Amerykę.

Westchnęła poirytowana.

- Chodzi o to, że...

- Będziemy musieli spać w jednym łóżku? - dokończył za nią. - Nawet jeśli, to co z tego? Pewnie nie raz ci się to zdarzyło.

Ugryzła się w język, by odruchowo nie zaprzeczyć.

- Wolę, kiedy to jest moja własna decyzja.

- Boisz się, że kiedy znajdę się z tobą w jednym łóżku, zamienię się w dziką bestię? - Zaśmiał się nieprzyjemnie. - Bez obaw. Nie mam w zwyczaju rzucać się na kobiety niczym jaskiniowiec. Zawsze czekam, aż otrzymam klarowne zaproszenie. A po tobie się tego raczej nie spodziewam. Słusznie, nieprawdaż?

- Absolutnie tak - odparła lodowatym tonem.

- Kiedyś, zanim poznałem Dianę, zdarzało mi się zabierać do Queens Barton pewną kobietę. Za każdym razem dostawaliśmy osobne pokoje. Pani Martin, gosposia Grahama, należy do starej szkoły. - Zrobił przerwę, by upić łyk kawy zakrapianej brandy. - Rzecz jasna, nigdy nie sprawdzałem, czy drzwi pomiędzy pokojami da się zamknąć na klucz. Jeśli nie, można je zabarykadować krzesłem lub szafką. Zrób to, jeśli się obawiasz, że wpakuję się do twojego łóżka przez przypadek. Ponoć czasem lunatykuję...

- Nie omieszkam - burknęła i napiła się kawy.

- Pozostała jeszcze kwestia, cytując ciebie, „modyfikacji wizerunku”. Chcę ograniczyć takie rzeczy do absolutnego minimum.

- Dobrze - zgodził się szybko. - Każdy pocałunek w policzek będzie uprzednio uzgodniony. Natomiast pocałunek w usta dopuszczalny jest tylko wtedy, gdy jedno z nas będzie potrzebować sztucznego oddychania.

Posłała mu wrogie spojrzenie.

- To wszystko cię bawi, prawda?

- Nie. Absolutnie, do diabła, nie! - warknął nagle. - Śmiertelnie poważnie traktuję całą tę sprawę. Nie mogę pozwolić na to, by Graham zerwał współpracę z moją firmą. Czekają mnie trudne i długie negocjacje. A twoją zaletą jest to, że jesteś nieznaną w tym towarzystwie twarzą. To dlatego Diana nie wyrzuciła cię z przyjęcia. Byłaś dla niej zupełnie obcą osobą i to ją wprowadziło w konsternację. Próbowала się czegoś o tobie dowiedzieć, oczywiście bezskutecznie. Nadal jesteś dla niej zagadką, więc przygotuj się na to, że podczas spotkania zada ci kilka pytań.

- I co mam wtedy mówić?

Wzruszył ramionami.

- Pozostawiam ci pełną swobodę. Nie wyjawiaj tylko, że spotykasz się ze mną, bo ci za to płacę. - Po chwili namysłu dodał: - Otacza cię aura tajemnicy, nie musisz się z niej zupełnie odzierać i odpowiadać na każde pytanie.

- I tak uważam, że powinieneś się po prostu ożenić z Dianą - zasugerowała. - To by rozwiązało twój problem.

Zaśmiał się lekko, lecz odpowiedział zupełnie serio:

- Mylisz się. To byłby dopiero początek prawdziwych problemów. Poza tym, czy Lynne nie wspominała o tym, że nie należę do mężczyzn, którzy dają się zaobrączkować?

- Ona o tobie nigdy nie mówi - odparła zbyt szybko.

- Co za chodzący ideał - rzucił ironicznie. - Chyba muszę jej dać podwyżkę. - Do pił swoją kawę. - Jak brzmi twoja ostateczna decyzja?

„Możesz się pożegnać z pracą w agencji! Dopilnuję tego, ty mała zdziro!“. Tak brzmiały pożegnalne słowa Adeli Mason. Jeśli spełni swą pogroźkę, Marin wpadnie w poważne tarapaty. Wendy Ingram wystawi jej fatalne referencje. Znalezienie pracy w innej agencji może się okazać bardzo trudne, a może nawet nierealne.

Czy mogę pozwolić sobie na odrzucenie jego propozycji? - zapytała siebie w myślach, znając odpowiedź. Wydała ciche westchnienie przepełnione rezygnacją.

- Zgadzam się - bąknęła pod nosem.

- Doskonale. - Wstał z sofy. - W tygodniu skontaktuję się z tobą, by omówić szczegóły techniczne wyjazdu. Lecz zanim wyjdę... - Z kieszeni marynarki, którą na siebie narzucił, wyjął książeczkę czekową i wieczne pióro. Po chwili wręczył jej wypisany czek. - Oto obiecane wynagrodzenie za przysługę, którą dziś mi wyświadczyłaś - oznajmił.

Spojrzała na papierek.

- Pięćset funtów? - zapytała zdziwiona.

- To za mało?

- O wiele za dużo! Tyle pieniędzy za to, że stałam obok ciebie, parę razy się uśmiechnęłam i zamieniłam kilka słów z twoimi znajomymi?

- Zrobiłaś to wszystko w pięknym stylu. Nikomu z obecnych nie przyszłoby do głowy, że to tylko udawanie za pieniądze. - Uśmiechnął się do niej z dziwnym smutkiem i rzekł: - Sam momentami o tym zapomniałem.

Ja również, odparła w duchu, wprawiając samą siebie w zdumienie.

- Do zobaczenia w przyszły weekend - rzucił przez ramię, wychodząc z apartamentu. - Życzę miłej nocy, panno Wade.

Ściskając w dłoni czek, Marin wpatrywała się w miejsce, w którym jeszcze chwilę temu stał Jake. Czowała spodziewaną ulgę, lecz również coś innego. Coś, czego nie była w stanie nazwać.

Lynne wróciła następnego dnia, wczesnym wieczorem. Rozbierając się i rozpakuwując, ze szczegółami opisała wizytę u swoich przyszłych teściów.

- A co ty porabiałaś cały weekend? - zapytała, skończywszy swoją relację.

Marin milczała. Lynne dokładnie przyjrzała się siostrze.

- Wyglądasz, jakbyś nie zmrużyła oka! Nadal opłakujesz utratę swojej wymarzonej pracy?

- Tak - mruknęła Marin. - I martwię się tym, co dalej ze mną będzie.

Lynne z uczuciem pogładziła policzek młodszej siostry.

- Matka Mike'a, przeurocza Denise, nie chciała mnie wypuścić bez jej domowej roboty kurczaka z grzybami. Zjemy go na kolację, dobrze? Ja obiorę ziemniaki, a ty posiekasz fasolkę i wszystko mi dokładnie opowiesz.

Usiadły przy stole i przez minutę lub dwie pracowały w milczeniu.

- Wiem, że to trudne, ale musisz to z siebie wyrzucić, Marin. Powiedz, co się stało we Francji - poprosiła Lynne.

Marin spuściła głowę, westchnęła rozdzierająco i zaczęła swą opowieść.

- Na początku wszystko było idealnie. Pogoda była wspaniała, dom piękny jak ze snu, a krajobrazy malownicze jak z pocztówki! Pani Mason już pierwszego dnia kazała mi mówić do siebie po imieniu. Narzuciła bardzo szybkie tempo pracy, ale ze wszystkim dawałam sobie radę. Byłam w siódmym niebie!

- A potem...

- A potem przyjechał jej mąż, Greg. Wysoki blondyn, młodszy od niej. Zapomniałam wspomnieć, że mieszkałam w oddzielnym budynku, w świeżo wyremontowanym domku tuż przy basenie. Codziennie po lunchu miałam przerwę. Najpierw szłam popływać, a potem wracałam do siebie, aby odpocząć, poczytać książkę. Nazajutrz po powrocie przyszedł do mnie Greg. Powiedział, że chce sprawdzić, czy robotnicy dobrze przeprowadzili remont domku. Zajrzał do kuchni i łazienki. - Marin obląła się rumieńcem. - Wszedł też do mojego pokoju. To było okropne! Ubrania, które zdjęłam przez pływanie, leżały rozrzucone na podłodze i łóżku. W tym moja bielizna. Greg spojrział na mnie jakoś dziwnie, uśmiechnął się i powiedział, że jestem bałaganiarą, ale tym razem nie naskarzy „szefowej”.

- Kiedy zaczął cię podrywać? - zapytała Lynne, zgadując dalszy rozwój akcji. - Już tamtego dnia?

- Nie, ale od tamtej pory ciągle czułam na sobie jego wzrok. Nigdy, przenigdy nawet w najmniejszy sposób go nie zachęciłam ani nic w tym rodzaju. Przysięgam. - Wzięła głęboki wdech. - Pewnego dnia Adela po lunchu oświadczyła, że jedzie do *supermarché*, a ja, tak jak zwykle, poszłam popływać w basenie.

Marin zadrżała. Czuła się tak, jakby cały ten koszmar przeżywała ponownie. Cichym głosem zaczęła dalej opowiadać:

- Wróciłam do swojego pokoju. Greg już tam na mnie czekał. Byłam pewna, że pojechał z Adelą na zakupy! Powiedział: „Wreszcie jesteśmy sami”, i nazwał mnie „cukiereczkiem”. Kazałam mu się wynosić, ale on pchnął mnie na łóżko, zaczął mnie całować i zrywać ze mnie bikini. Z przerażeniem zauważyłam, że miał rozpięty rozporek... Szarpałam się, szamotałam i krzyczałam. Nagle usłyszałam jakiś inny krzyk. Greg puścił mnie wreszcie, a ja ujrzałam w progu Adelę. Stała z otwartymi ustami, wydając z siebie te przeraźliwe piski.

Marin urwała opowieść, by zaczerpnąć tchu.

- Pamiętam, że pomyślałam sobie: „O, Boże, biedna Adela! Nigdy mu tego nie wybaczy”. On natomiast wstał, zapiął spodnie i zaczął zwałać winę na mnie! Powiedział, że zwabiłam go do domku pod pretekstem nareperowania prysznic, zaczęłam z nim

wulgarnie flirtować i nagle rozpięłam mu spodnie i zaciągnęłam go do łóżka... Powiedział, że robiłam do niego maślane oczy od dnia, kiedy wrócił do Francji. Zaczepiałam go, ocierałam się o niego, kazałam mu zgadywać kolor mojej bielizny... Same ohydne, wierutne kłamstwa! Do żony powiedział: „Na miłość boską, Adelo, spójrz na nią. Co za chuchro! Kto, do diabła, chciałby choćby tknąć taką żalostną parodię kobiety?”. Podobno nie chciał nic mówić Adeli, ponieważ czuł do mnie litość i nie chciał, żebym straciła pracę.

Lynne była zaszokowana całą tą historią.

- Nie powiedziałaś jej, jak naprawdę to wszystko wyglądało?

Marin zamknęła oczy, by powstrzymać łzy.

- Próbowałam... ale ona nie chciała mnie słuchać. Jej mąż pierwszy opowiedział swoją bajeczkę, a ona w nią uwierzyła. Co więcej, zaczęła mnie wyzywać od zdir. W pewnym momencie przestraszyłam się, że mnie uderzy, ale Greg ją powstrzymał. Powiedział, że nie jestem tego warta i powinna mnie po prostu natychmiast zwolnić. I tak też zrobiła.

- Co za podłe bydlę! - wycedziła Lynne przez zaciśnięte zęby. - Skończony łajdak. Mam też nadzieję, że nowa książka Adeli Mason będzie totalnym gniotem i kompletną klapą.

Siostry zasiadły do kolacji. Lynne po chwili wróciła do tematu:

- Dotychczas twoi klienci i klientki wyrażali się o tobie w samych superlatywach. Mam nadzieję, że twoja szefowa uwierzy tobie, a nie tej głupiej babie od romansideł. A jeśli nie... - Lynne zawiesiła głos. - Będziesz musiała zacząć szukać nowej pracy. Zapytam Rada, czy pozwoli ci tu dłużej zostać. Powinien się zgodzić, jeśli ładnie poproszę.

Marin przełknęła kawałek kurczaka i wydukała:

- Prawdę mówiąc, ja już...

- Ja niebawem się stąd wyprowadzę - kontynuowała Lynne, ignorując słowa siostry. - Razem z moim lubym chcemy kupić mieszkanie. W przyszłym tygodniu rozpoczynamy poszukiwania. - Twarz Lynne rozświetlił promienny uśmiech. - Planujemy się pobrać w przyszłym roku. Już wytypowałam cię na drużnę! - Nagle zmarszczyła czoło. - Niestety będę też musiała poszukać swojej zastępczyni i przyuczyć ją do pracy.



- Masz zamiar rzucić pracę?

- W pewnym momencie, tak. Rad nie tolerowałby żonatej asystentki. On wymaga pełnego oddania i poświęcenia. A moim priorytetem będzie mój mąż. - Ukroiła sobie kolejny kawałek pieczeni. - A może ty chciałabyś pracować dla Rada? To znaczy, jeśli się okaże, że straciłaś pracę w agencji.

Marin wzięła głęboki wdech i zebrała w sobie odwagę, by wyjawić siostrze krępujący sekret.

- Tak się składa, że... ja już dla niego pracuję. W pewnym sensie.

Zaległa ciężka cisza. Lynne odłożyła widelec i zmrużyła oczy.

- Wyjaśnij, proszę.

Marin gorączkowo zastanawiała się, w jakie słowa ubrać całą tę historię. Wreszcie zdecydowała się powiedzieć prawdę bez owijania w bawełnę.

- Chciał, żebym, była jego dziewczyną. - Widząc, jak na twarzy Lynne maluje się wyraz skrajnego przerażenia, dodała pospiesznie: - To znaczy, żebym tylko udawała jego dziewczynę przed ludźmi. Za pieniądze. Nie chciał iść na przyjęcie sam. Jego partnerka się rozchorowała - tłumaczyła chaotycznie. - A ty wyjechałaś. No więc wybrał mnie.

- W takim razie niech wybierze kogo innego - rzuciła Lynne gniewnym tonem. - Powiem mu to osobiście. Kiedy jest to przyjęcie?

Marin przygryzła wargę.

- Ono już się odbyło. W piątek.

Lynne zamknęła oczy. Miała taką minę, jakby zdarzyła się jakaś niewysłowiona tragedia.

- O, mój Boże...

- Nie, wszystko w porządku - uspokoiła ją Marin. - Nic się nie stało.

Nic, z wyjątkiem pocałunku, na myśl o którym teraz przez jej ciało przetoczyła się fala przyjemnego ciepła.

- W porządku? - powtórzyła Lynne z niedowierzaniem. - Mówisz tak po tym, co ci się przytrafiło we Francji? Boże, chyba zamorduję Rada...

- Jeśli naprawdę masz ochotę zrobić komuś krzywdę - wtrąciła nieśmiało Marin - polecam kobietę nazwiskiem Diana Halsay.

- Och, do diabła... - westchnęła Lynne. - Myślałam, że już przestała się uganiać za Radem.

- W pewnym sensie. - Marin odsunęła pusty talerz. - Teraz usiłuje przekonać swojego męża, że to Jake ugania się za nią!

- Żeby firma Halsaya zerwała współpracę z agencją Rada - domyśliła się Lynne. - Dlaczego Jake nie zabrał ze sobą na przyjęcie Celi Forrest?

- Podobno się rozchorowała.

- Dlaczego nie powiedziałaś „nie”?

Marin przypomniała sobie, jak Jake złowrogim, intensywnym spojrzeniem przesunął po całym jej ciele, zakrytym jedynie rękawiczką. Przypomniała sobie jego słowa: „Możemy darować sobie tę głupią imprezę i zostać tutaj. Tylko ty i ja...”.

Pomyślała: nie odmówiłam, ponieważ alternatywa wydawała mi się czymś o wiele, wiele groźniejszym.

- Obiecał mi zapłacić za moje towarzystwo - odpowiedziała wreszcie. - Bardzo hojnie. Nie mogłam odrzucić takiej propozycji. Nie w mojej obecnej sytuacji.

- Mam nadzieję, że na tej jednej propozycji się skończy! - rzekła Lynne poważnym tonem. - I zapomnij o moim pomysśle, byś dla niego pracowała. To zbyt niebezpieczne.

Marin wiedziała, że musi wyznać całą prawdę.

- To nie koniec historii. Halsayowie zaprosili nas do swojej wiejskiej posiadłości w przyszły weekend. Tym razem za udawanie jego dziewczyny Jake zapłaci mi cztery razy więcej.

Spodziewała się wybuchu gniewu siostry, lecz ta przełknęła głośno i powiedziała łagodnym, lecz stanowczym tonem:

- Po moim trupie, kochanie! Uwierz mi, nie możesz się angażować w tę znajomość. On jest... spoza twojej ligi. I mojej również. - Pokręciła głową. - Kiedy zaczęłam u niego pracować, miałam ochotę na bliższe z nim relacje. Tak, kusilo mnie. Lecz w porę zdałam sobie sprawę z zagrożeń i wycofałam się. Nie chciałam zasilić jego statystyk. Byłabym tylko jego kolejnym numerkiem. Ty również nie możesz sobie na to pozwolić!

- Ależ nic takiego mi nie grozi - zaprzeczyła Marin. - Nasz układ to czysty interes. Płaci mi jedynie za udawanie przy ludziach. Będziemy spać w osobnych łóżkach i poko-

jach. Poza tym, spójrz na mnie. Czy komuś mogłabym się spodobać... - W jej głowie znowu odbiły się echem okrutne słowa, które usłyszała we Francji.

- Tak, patrzę na ciebie i widzę słodką, niewinną dziewczynę, która nie powinna spędzić ani chwili, nie mówiąc już o całym weekendzie, w pobliżu takiego drapieżnika, jakim jest Jake Radley-Smith. Oddzielne pokoje? - Lynne pokręciła głową. - Bezpieczne byłyby jedynie oddzielne wszechświaty. Nie masz do czynienia z nieudolnym amatorem, jak ten idiota we Francji, tylko z wytrawnym uwodzicielem. Jeśli martwisz się pieniędzmi, dam ci tyle samo, ile on ci oferuje. Oddasz mi, kiedy będziesz mogła.

- Brać od ciebie pieniądze? Nie ma mowy. Przecież oszczędzasz na mieszkanie i wesele! - przypomniała jej Marin. - Lynne, to niezwykle miłe z twojej strony, ale pan Radley-Smith już mi zapłacił pięćset funtów i obiecał dwa tysiące po weekendzie. - Dostrzegła, jak oczy Lynne robią się okrągłe ze zdumienia. - Jeśli Wendy Ingram wyrzuci mnie z pracy, będę bardzo potrzebowała tych pieniędzy. A ty nie będziesz w stanie udzielić mi aż tak dużej pożyczki.

- Nie, nie będę. - Lynne westchnęła rozdzierająco. - To wszystko i tak mi się nie podoba. Bardzo mi się nie podoba! Jutro rano powiem mojemu szanownemu szefowi kilka szczerych, przykrych słów.

- Nie, błagam! - Marin nagle ogarnął lęk. - Zawarłam z nim umowę. Dam sobie radę. Po tym co się stało we Francji, jestem bardziej czujna. Nie musisz się martwić. Już nie jestem małą dziewczynką.

- I w tym właśnie problem - bąknęła Lynne i wstała, by sprzątnąć ze stołu.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

- Wygląda na to, że otworzyłaś puszkę Pandory - rzuciła kostycznym tonem pani Ingram, gdy Marin weszła do jej gabinetu z przeproszącą miną. - Zdaniem pani Mason, twoim hobby jest rozbijanie małżeństw. Ponoć nadużyłaś jej gościnności, serdeczności i zaufania. - Szefowa przeszła ją ostrym wzrokiem. - Masz coś na swoją obronę?

- Obawiam się, że pani Mason obwinia niewłaściwą osobę - oświadczyła Marin, a następnie, bez nerwów i emocji, opowiedziała swoją, czyli prawdziwą, wersję wydarzeń. - Kiedy mnie zatrudniała, sądziła, że będę bezpieczną kandydatką, ponieważ nie jestem w typie jego męża - zakończyła.

Wendy Ingram westchnęła z irytacją.

- Tak też podejrzewałam. Adela Mason uniosła się i powiedziała kilka słów za dużo. No i tak oto wylądowała na czarnej liście. - Pani Ingram spojrzała na ekran swojego komputera, kilka razy kliknęła myszką. - Nie mam dla ciebie w tej chwili żadnych zleceń. Najwcześniej będę coś miała w przyszłym tygodniu. Kolejna praca w terenie. Stanowisko administratorki biura w klinice weterynaryjnej w Essex. Uprzedzam, praca będzie ciężka. Żadnego obijania się i malowania paznokci przy biurku. Jak się na to zapatrujesz?

Marin pomyślała, że to prawie prezent z niebios.

W garnku gotował się sos boloński, na patelni woda czekała na makaron, a w piekarniku piekł się chleb czosnkowy.

- Wiesz co, chyba ciebie wynajmę! Skoro inni mogą, to dlaczego nie ja? - rzuciła pogodnie Lynne po powrocie z pracy, wciągając w nozdrza kuchenne aromaty.

- Nie da rady - odrzekła Marin pogodnym tonem. - W przyszłym tygodniu zapuszczam się do Essex, aby pracować w klinice weterynaryjnej. Ich specjalnością są małe zwierzęta, więc nie zagryzą mnie wściekłe wilki. - Na jej usta wstąpił błogi uśmiech. - A skoro pani Ingram nie wyrzuciła mnie z pracy i dała nowe zlecenie, nie potrzebuję już pieniędzy od twojego szefa. Niniejszym odwołuję plany weekendowe.

- Och... - jęknęła Lynne.

Marin przestała mieszać sos i spojrzała na siostrę w zdumieniu.

- Co się stało? Myślałam, że się ucieszysz!

- Ja też. Ale... dziś cały dzień odbierałam telefony od Diany Halsay. - Pokręciła głową. - Ona tak łatwo nie da za wygraną. Nadal chce się na Jake'u albo zemścić, albo znowu go uwieść. Obawiam się, że Rad liczy na ciebie, moja droga. Dostałam od niego rozkaz, aby zabrać cię jutro na zakupy.

- Dobrze, pójdę na zakupy, ale jedynie po dzinsy i kalosze! - odparła buńczucznie Marin. - Naomi w ubiegłym roku pomagała jakiemuś wiejskiemu weterynarzowi w Norfolk i mówiła, że w tej robocie kalosze to rzecz fundamentalna.

Lynne westchnęła.

- A czy mogłabyś najpierw kupić parę sukni wieczorowych i jakieś ładne dodatki? Cena nie gra roli. Wiesz, że bym cię o to nie prosiła, gdybym nie uznała całej tej historii za sprawę niezwyklej wagi. Aha, nie omieszkałam wspomnieć Radowi, że jest zupełnie nie w twoim typie - zakończyła z uśmiechem.

- I jak na to zareagował?

- Powiedział, że, cytuję, jego podejrzenia grawitowały w tym właśnie kierunku. Przez minutę milczał jak zaklęty, a potem uroczyście przyrzekł na wszystko, co mu drogie, że będzie się tobą opiekował i nie spadnie ci włos z głowy.

- Wszystko, co mu drogie? - zachnęła się Marin. - To musi być bardzo krótka lista. Nic niewarta obietnica.

- Posłuchaj, kochanie. Uważam, że dodatkowe pieniądze i tak ci się przydadzą. Pieniądze, które dostajesz za wynajmowanie mieszkania, ledwie pokrywają opłaty hipoteczne. Nie jesteś w stanie gromadzić żadnych oszczędności. - Po chwili namysłu dodała: - Odkąd pracuję z Radem, ani razu nie złamał złożonej obietnicy. Wbrew pozorom, to facet godny zaufania. Oczywiście, ostateczna decyzja należy do ciebie.

A co, jeśli problemem jest to, że sama siebie nie darzę zaufaniem? - pomyślała Marin.

Nazajutrz Marin niechętnie pozwoliła siostrze ciągać się po luksusowych sklepach i kupować horrendalnie drogi ubrania, które, jej zdaniem, były zupełnie niepotrzebne. Tyle pieniędzy wyrzuconych w błoto! Lynne co chwila jej przypominała, że przecież ten

szął zakupowy sponsoruje Jake. Pod koniec dnia Marin miała już skompletowaną nową, efektowną garderobę. Nie wyobrażała sobie, by mogła na siebie włożyć niektóre z tych kreacji; zabrakłoby jej odwagi.

W piątek od samego rana kumulowało się w niej nieznośne napięcie. Miała nadzieję, że Jake nie przyjedzie. Niestety, pojawił się punktualnie, co do sekundy. Stał w progu apartamentu z szerokim, lekko ironicznym uśmiechem.

- O! Miło widzieć, że nie uciekłaś przede mną na drugi koniec świata - rzekł w ramach powitania.

Czarne spodnie, które miał na sobie, podkreślały jego szczupłe biodra i długie nogi. Koszula w szaro-białą kratkę była rozpięta pod szyją i podwinięta aż do łokci. Marin przez kilka sekund podziwiała jego muskularne ręce i opaloną skórę.

- Czyżby nękały cię takie obawy? - zapytała, zauważając, że nagle zaschło jej w gardle.

Nie chciała ubrań, za które zapłacił, lecz teraz, czując na sobie jego intensywne spojrzenie i dostrzegając w oczach coś w rodzaju aprobaty, poczuła się dobrze w czerwonej bluzeczce bez rękawów i prostej, obcisłej kremowej spódnicy do kolan. Na stopach miała eleganckie kremowe sandały na wysokim obcasie, które dodawały jej nie tylko trzy czy cztery centymetry wzrostu, lecz również działały jak zastrzyk pewności siebie.

Tego, co miała pod ubraniem - czyli przepięknej koronkowej bielizny, na którą po długiej i burzliwej dyskusji namówiła ją Lynne - nie ujrzą jego oczy, pomyślała z perwersyjną satysfakcją.

Włosy miała lekko przystrzyżone, świeżo umyte, błyszczące. Z pietyzmem nałożyła na twarz makijaż, uzyskując upragniony efekt.

- Tak, czasem nachodziły mnie pewne obawy - przyznał. - Masz tylko tę torbę?

- Przecież to tylko dwa dni.

- Tylko lub aż. - Zanim zdążyła zapytać, co ma na myśli, zaordynował: - Chodźmy już.

Zeszli na dół do samochodu - niskiego, opływowego, z deską rozdzielczą wyglądającą jak pulpity statku kosmicznego.



- Typowe - mruknęła pod nosem Marin, zajmując miejsce na fotelu pasażera.

Odruchowo poprawiła spódnicę, by odkrywała jak najmniej nóg. Miękki skórzany fotel niemal pieścił jej ciało. Spodziewała się, że Jake ruszy swoją imponującą maszyną z piskiem opon i będzie pędził przez ulice z prędkością światła, lecz myliła się; jechał bardzo ostrożnie i elegancko, cierpliwie przebijając się przez londyńskie korki. Był piątek, początek weekendu, jedna czwarta Londynu również wyjeżdżała poza miasto.

- Prowadzisz? - zapytał, przerywając wreszcie ciszę.

- Mam prawo jazdy. Czasem, jeśli wymaga tego praca, siadam za kierownicą.

- Chcesz poprowadzić mój wóz?

- Za nic w świecie! Nie zdawałam egzaminu ze sterowania rakieta kosmiczną.

- Jak sobie życzysz, moja droga. - Po chwili dodał: - Chciałbym, żeby było już po wszystkim.

- Na pewno nie tak bardzo jak ja - mruknęła Marin, zatapiając się w fotelu.

Jake zaśmiał się łagodnie.

- Nie wątpię. Proszę jednak, nie afiszuj się z takim nastawieniem przy ludziach.

Godzinę później byli już na miejscu. Queens Barton było typowo angielską, malowniczą miejscowością, zatopioną w zieleni i, akurat tego dnia skapaną w złotym słońcu. Dom w georgiańskim stylu, zbudowany z wyblakłej, czerwonej cegły, usytuowany był na obrzeżach miasteczka. Przejechali przez ogromną bramę umocowaną na dwóch ogromnych kolumnach. Jake zaparkował auto na szerokim podjeździe wysypanym żwirem. Wszedł i, otwierając drzwi Marin, rzekł półgłosem:

- Wszystko będzie w porządku. Obiecałem to twojej charakternej siostrzyczce, przed którą czuję pewien respekt. Rozluźnij się. - Musnął nagle ustami jej czoło.

Marin zamarła w bezruchu, zdumiona tym gestem. Nic nieznaczącym gestem na pokaz, dodała w duchu.

- Znowu modyfikowałeś mój publiczny wizerunek? - rzuciła, siląc się na pogodny ton.

- Nie - odparł cicho. - Tym razem zrobiłem to dla własnej przyjemności. - Ujął jej dłoń i ruszyli w stronę willi. - Oto nasz gospodarz.

Graham Halsay stał w progu otwartych na oścież drzwi, uśmiechając się od ucha do ucha.

- Jak dobrze cię tu znowu widzieć, Jake! - zawołał. - Witam, panno...

- Marin. Marin Wade. Dziękuję za zaproszenie, panie Halsay - odrzekła uprzejmie i spokojnie, choć w środku była kłębkim nerwów.

- Oto mój ukochany azyl, moja świątynia spokoju - oświadczył gospodarz z dumą.

- Zapraszam do środka. - Wprowadził ich do ogromnego holu wyłożonego czarno-białą niczym szachownica posadzką. - Diana właśnie konsultuje menu z kucharzami. Panna Martin zaprowadzi was do waszych pokoi.

Usłyszawszy słowo „pokoi”, a nie „pokoju”, Marin odetchnęła głośno z ulgą. Ignorując ironiczne spojrzenie Jake'a, ruszyła za gosposią po schodach, a następnie wąskim, zacienionym korytarzem. Pani Martin zatrzymała się przy pierwszych drzwiach.

- Oto pani pokój, panno Wade. Mam nadzieję, że przypadnie pani do gustu. Pan Radley-Smith zamieszka w sąsiednim pokoju. - Czyżby usłyszała jakąś nieprzyjemną nutkę w głosie gosposi, gdy wypowiadała nazwisko Jake'a? Z iloma kobietami tutaj przyjeżdżał? Z iloma tu... spał? - Czy mam kogoś przysłać, by pomógł się państwu rozpakować?

- Dziękuję, damy sobie radę. Prawda, kochanie? - zapytał słodkim tonem.

Marin zgromiła go wzrokiem. Kiedy kobieta odeszła, Jake wszedł do pokoju Marin i otworzył drzwi w głębi pomieszczenia.

- Oto wejście do korytarzyka, w którym znajduje się wspólna łazienka. Drzwi na końcu przejścia prowadzą do mojego pokoju. Twoje drzwi zamykają się na zasuwę. Nie sądzisz jednak, że nie powinniśmy ich zamykać? Powinniśmy się przecież lepiej poznać.

- Nie sądzę. A teraz, jeśli wybaczysz, chcę się rozpakować i rozgościć - odparła oziębło.

Wzruszył szerokimi ramionami. Pożegnał się i zniknął w korytarzyku, zamykając za sobą drzwi. Marin podeszła do okna i uniosła twarz ku słońcu w nadziei, że stopi jej niepokój, którym obrosło jej serce niczym lodową skorupą. Z okna widać było starannie przystrzyżone trawniki oraz lśniący jak lustro basen, w którym w tej chwili nikt się nie

kapał. To naprawdę idealna sceneria na wspianiały weekend, pomyślała. Jaka szkoda, że przyjechałam tu w innym celu.

Nie słyszała żadnego odgłosu z pokoju Jake'a, lecz czuła jego intensywną obecność. Pod wpływem wspomnienia pocałunku, który złożył na jej czole, do jej umysłu wtargnęła szokująca myśl: chciałabym być z nim sam na sam. Spędzić z nim romantyczny weekend. Robić wszystkie rzeczy, które robią kochankowie. Czyli... co, pani ekspert od „tych rzeczy”? - dodała w myślach z autoironią.

Te absurdalne fantazje złożyła na karb zmęczenia i upału. Zdjęła buty, położyła się pod błękitną, perkalową kołdrą i zamknęła oczy, dając wytchnienie umysłowi i ciału. Już prawie nieprzytomna, odpływając do błogiej krainy snu, raptem usłyszała jakiś hałas. Podniosła powieki. Drzwi łączące oba pokoje były otwarte. Ujrzała Jake'a, bosego i z obnażonym torsem. Zanim zdążyła otworzyć usta, on już pojmał je swoimi wargami, napierając na nią całym ciałem i przygważdżając ją do łóżka. Jego ręka wpełzła pod jej bluzkę i spoczęła na jej brzuchu. Nagle poczuła, że kontrolę nad nią przejmuje jakaś obca, potężna siła. Uniosła ręce i zacisnęła je na jego szerokich, muskularnych ramionach. Całe jej ciało w jednej chwili zapłonęło nieznanym wcześniej pragnieniem.

W tym samym momencie kątem oka dostrzegła, jak główne drzwi do pokoju uchylają się, skrzypiąc lekko, i ukazują szczupłą sylwetkę Diany.

- No proszę, proszę...

Stała w progu, ze sztywnym grymasem na ustach, który miał udawać uśmiech. Jake niechętnie odsunął się od Marin i odgarnął włosy z twarzy.

- Przyszłam powitać pannę Wade i upewnić się, czy niczego jej nie brakuje, ale widzę, że czujecie się tu już jak u siebie w domu. Mówiąc precyzyjniej, w sypialni. Swoją drogą, Jake, nie wiedziałam, że lubisz miłosne harce w środku dnia. - Jake milczał, unikając kontaktu wzrokowego z Dianą. - Wybaczcie mi to niezapowiedziane najście. W przyszłości będę ostrożniejsza. Kiedy już zakończycie to, co zaczęliście, zapraszam na dół na herbatę.

Wyszła, zamykając bezgłośnie drzwi. Marin dopiero teraz zaczerpnęła tchu.

- Wiedziałaś, że tu przyjdzie? - zapytała drżącym głosem.

- Usłyszałem, jak rozmawia z kimś na korytarzu. Domyśliłem się, że idzie zajrzeć do ciebie. Uznałem, że jest rzeczą pożądaną, aby Diana zobaczyła nas w intymnej sytuacji.

Marin usiłowała nie patrzeć na jego nagi tors i wyrzucić z pamięci jego pocałunek, jego dotyk... i swoją szokującą reakcję na to, co zaszło. On odegrał scenkę. A ona straciła nad sobą panowanie. To się nigdy więcej nie może powtórzyć, zdecydowała w duchu.

- Masz ochotę na herbatę? - zapytał, odgarniając kosmyk włosów z jej zarumienionej twarzy. Jego palce musnęły jej policzek. - A może masz lepszy pomysł, jak spędzić następną godzinkę lub dwie?

- Och, nie, nie. - Pokręciła energicznie głową, przerażona jego czytelną aluzją. Przełknęła głośno. - Herbata. Napijmy się herbaty!

- Wobec tego za jakieś pół godziny zejdziemy wspólnie na dół - oświadczył, wstając z łóżka. - Ten dom to istny labirynt, więc zapukam do ciebie, kiedy wezmę prysznic i się przebiorę. - Uśmiechnął się do niej po przyjacielsku, nieco protekcyjnie. - Nie chcę, żebyś się zgubiła.

Chyba już się zgubiłam, odparła w myślach, kiedy wychodził, znikając w korytarzyku łączącym oba pokoje.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Pół godziny później Marin schodziła po schodkach tarasu u boku Jake'a. Omiotła wzrokiem perfekcyjnie przystrzyżony trawnik, na którym stały wiklinowe krzesła, osłonięte przed słońcem rozłożystymi parasolami, oraz stolik zastawiony srebrnym, zapewne horrendalnie drogim serwisem do herbaty.

Od razu poczuła pokusę, by się odwrócić i uciec.

- Spokojnie. Wszystko będzie dobrze - szepnął Jake, jakby czytał w jej myślach, a jego palce jeszcze mocniej zacisnęły się na jej dłoni.

Prócz Diany i Grahama obecne były jeszcze trzy inne pary: Sylvia Bannister, elegancka, urodziwa brunetka, z mężem Robertem, wysokim mężczyzną o rumianej twarzy i teatralnym sposobie mówienia; Chaz i Fiona Strattonowie, właściciele sklepu z antykami; oraz małżeństwo Dawsonów, starsze od reszty towarzystwa. Nie ulegało wątpliwości, że są przyjaciółmi Grahama, a nie jego młodej żony.

Po lakonicznym powitaniu Marin usiadła na wolnym krześle, Jake natomiast zajął miejsce na trawie, tuż obok niej, i położył ramię na jej kolanach, by nie uszło niczyjej uwadze, że jego towarzyszka jest jego nową kochanką, nową własnością. Marin dostrzegła, jak w słońcu lśnią jego długie, nadal wilgotne włosy. Jego głowa znajdowała się dosłownie kilka centymetrów od jej dłoni. On płaci mi za udawanie, przypomniała sobie. Czas zacząć odgrywać swoją rolę.

Jej ręka wśliznęła się w gęstwinę jego gładkich, pachnących drogim szamponem włosów, a następnie powędrowała do jego szyi, gładząc silny kark. Poczowała, jak jego ciało się napina.

- Nie wysuszyłeś włosów - szepnęła łagodnie.

- Nie zdążyłem - odparł z chłopięcym uśmiechem, wpatrując się w jej twarz. - Mam nadzieję, że następnym razem przyjdiesz mi z pomocą.

Poczowała, jak jej policzki oblewa rumieniec.

- Z przyjemnością.

- Tak, to będzie przyjemność. Obiecuję - mruknął uwodzicielsko.

- Consuelo - odezwała się Diana Halsay władczym tonem do służącej, młodej kobiety o oliwkowej skórze. - Obsłuż moich gości.

W ciągu kilku sekund na stoliku pojawiły się talerze wypełnione małutkimi kanapczkami z gotowanym na parze łososiem, jajkiem i rzeżuchą, półmiski z apetycznie wyglądającą pastą rybną, oraz dzbanek herbaty Earl Grey z cytryną. Marin, choć miała ściśnięty z nerwów żołądek, zdołała coś przekąsić i pogawędzić z Clare Dawson, puszystą, siwiejącą i bardzo sympatyczną panią.

Kiedy *five o'clock* dobiegł końca, Diana wstała i ogłosiła:

- Kochani, dziś wieczorem nie urządźcie rewii mody. Obowiązują stroje nieformalne. Swoje najlepsze kreacje zostawcie na jutro, kiedy zawitają do nas goście.

Kiedy zostali sami, Jake powiedział Marin, by nie wierzyła w słowa Diany.

- Czuję, że odegrała tę scenkę specjalnie dla ciebie. To może być podstęp.

Kazał jej włożyć coś efektownego. Jestem tu, by odgrywać rolę jego kochanki, pomyślała, dodając sobie motywacji. Włożyła jedną z sukienek, którą kupiła wraz z Lynne. Tę najbardziej wyzywającą, o którą stoczyła z siostrą zaciętą, lecz zakończoną klęską walkę. Sukienka była krótka i obcisła, w intensywnym turkusowym kolorze, na wąskich ramiączkach i z głębokim dekoltem. Marin związała włosy w luźny kucyk, uszy ozdobiła małymi srebrnymi kolczykami, a twarz jedynie musnęła lekkim, naturalnym makijażem.

Kiedy otworzyła drzwi Jake'owi i ujrzała, jak jego oczy robią się okrągłe ze zdumienia, wydukała:

- Przesadziłam? Sam kazałeś...

- Kazałem i nie żałuję. Wyglądasz zjawiskowo - rzekł z najwyższą aprobatą. - Reszta kobiet zzielenieje z zazdrości.

Kiedy wkroczyli do salonu, okazało się, że intuicja nie oszukała Jake'a; wszyscy mężczyźni ubrani byli w ciemne, eleganckie garnitury, a kobiety w szykowne, koktajlowe sukienki. Diana najbardziej zaszalała.

Jej kreacja w kolorze *midnight blue* miała głęboki dekolt zarówno z tyłu, jak i z przodu. Kiedy zobaczyła, co Marin na siebie włożyła, jej twarz wykrzywił kwaśny grymas.



Pierwszy podszedł do nich Robert Bannister, trzymając w rękach shaker do koktajli. Jego wzrok bezzwłocznie spoczął na miękkich kształtach ciała Marin, podkreślonych przez obcisłą sukienkę.

- Jake, ty stary draniu, zawsze miałeś szczęście do kobiet - zaśmiał się, nie odrywając wzroku od Marin. - Napijcie się Bomby Bannistera?

- Dzięki, ostatnim razem od twojej bomby przez tydzień pękała mi głowa - odparował Jake. - Marin napije się białego wina z wodą sodową, a ja ginu z tonikiem.

Kiedy zostali sami, Jake szepnął Marin do ucha:

- Jeśli drink nie będzie ci smakować, podlej nim jedną z roślinek Diany.

Po chwili podszedł do nich Graham Halsay.

- Robert już się zajmuje waszymi drinkami? Kapitalnie. - Uśmiechnął się od ucha do ucha. - Jake, przyjacielu, ty wszystkich znasz, więc pozwól, że porwę twoją czarującą towarzyszkę i przedstawię ją oficjalnie reszcie gości.

Marin, zżerana przez treść, doskonale dała sobie radę. Wszyscy przywitali ją uprzejmie, zgodnie z praktykowanymi w takim towarzystwie konwenansami. Clare Dawson zachwyciła się jej sukienką od Fenelli Finch, jednocześnie wyrażając żal, że ona niestety nie wcisnęłaby się w coś tak „miniaturowego”. Jej mąż, Jeffrey, potężny, niedźwiedziowaty mężczyzna, uśmiechnął się z uczuciem do żony i oświadczył, że i tak zawsze wygląda bajecznie.

Marin zrobiło się ciepło na sercu. Pomyślała, że tak właśnie powinno wyglądać małżeństwo; dwoje ludzi, którzy kochają się bezkrytycznie i na pierwszym miejscu stawiają nie fortuny, wille, jachty i diamenty, lecz miłość, przyjaźń i oddanie. Zastanawiała się, czy ją kiedyś spotka takie szczęście...

Podczas kolacji okazało się, że została strategicznie usadzona przez panią domu nie obok Jake'a, tylko obok Roberta Bannistera, który zaczął nieco nieudolnie, pod czujnym okiem żony, z nią flirtować. Zgodnie z angielską tradycją rozmowa po krótkim czasie nieuchronnie zeszła na temat pogody. Marin uznała, że nie musi się udzielać; zamiast tego zajęła się jedzeniem, które na szczęście było naprawdę pyszne. Kiedy po posiłku podano kawę, Marin poczuła na sobie świdrujący wzrok byłej kochanki Jake'a.

- Czy pani lubi pływać, panno Wade? - zagadnęła ją Diana. - Moja sobotnia, jak ją nazywam, olimpiada, jest już pewnego rodzaju rytuałem i zastanawiam się, czy weźmie pani w niej udział.

Marin nie chciała zdradzać, że jako nastolatka uwielbiała pływać, startowała nawet w okręgowych zawodach. Zamiast tego odparła, że bardzo chętnie spróbuje swoich sił.

- Doskonale. - Diana przeniosła wzrok na Jake'a i rzekła ze słodkim uśmiechem: - Ciekawe, czy nadal jesteś w tak fantastycznej formie, kochany.

- Przykro mi - wtrącił Graham Halsay - lecz obawiam się, że jutro z Jake'em będziemy dyskutować o interesach, więc nie będziemy mogli się popluskąć. Mam nadzieję, że rozumiesz.

Diana westchnęła donośnie.

- Wielka szkoda. Tak to się właśnie kończy, kiedy bierzesz ślub z pracoholikiem - rzuciła niby humorystycznie. - Chyba wszystkie obecne tu żony znają ten ból. - Ponownie zatopiła spojrzenie w Marin i ostrzegła ją: - Niech pani unika jak ognia mężczyzn, którzy na pierwszym miejscu stawiają pracę.

Innymi słowy, łapy precz od Jake'a, pomyślała Marin.

- Zapamiętam pani cenną radę, pani Halsay - odparła sztywno.

Kiedy wstali od stołu, Jake został natychmiast porwany przez Grahama, a u boku Marin pojawiła się Sylvia Bannister.

- Muszę przyznać, że zaskoczyła nas pani obecność - odezwała się. - Czy można się dowiedzieć, jak pani poznała Jake'a? Proszę milczeć, jeśli moje pytanie jest niedyskretne...

- Nie, to żadna tajemnica. Poznaliśmy się dzięki mojej siostrze. Pracuje w agencji Jake'a.

- Och! - zdziwiła się pani Bannister. - Pani również?

- Nie, broń Boże! - Marin wzdrygnęła się dla efektu. - To byłoby szalenie nierozważne. Przecież nie od dziś wiadomo, że nie wolno łączyć pracy z przyjemnością.

- Tak, coś mi się obilo o uszy - mruknęła kobieta. - Czym się więc pani zajmuje?

- Pracuję w agencji sekretarek Ingram Organisation. Oferujemy szeroki zakres usług dla firm i osób prywatnych.

- Musi być pani wybitną sekretarką. Bo zdaje się, że sporo pani zarabia. - Sylvia Bannister zazdrosnym spojrzeniem przesunęła po markowej sukience Marin. - A kiedy się poznaliście?

Marin wzruszyła ramionami.

- Jakiś czas temu - odparła nonszalancko. - Mam jednak wrażenie, że znam go od zawsze.

- Cóż, moja droga, w takim razie byłas pilnie strzeżonym sekretem - zaśmiała się nieszczercze kobieta. - Aż do teraz.

Po skończonej rozmowie Marin podeszła do Diany, która stała sama przy kominku.

- Proszę mi wybaczyć, pani Halsay, ale chciałabym już powiedzieć dobranoc. To był dla mnie bardzo długi dzień. - A w myślach dodała: i chcę uniknąć kolejnej konfrontacji z hiszpańską inkwizycją.

- Noc zapewne również będzie długa - odparła Diana z uśmiechem, który nie dotarł do jej zielonych, zimnych oczu. - Poproś Jake'a, kochanie, by jednak dał ci kilka chwil wytchnienia. Nie chcemy, abyś się jutro, nie daj Boże, utopiła.

Marin poczuła, że na jej policzkach zapłonął rumieniec.

- Dziękuję za kolejną cenną radę - odrzekła oziębłe. - Opanowałam sztukę utrzymywania się na powierzchni, nie tylko podczas pływania. A jeśli chodzi o Jake'a, cóż, jak wiadomo, trudno odmówić takiemu mężczyźnie.

Nie czekając na odpowiedź Diany, której twarz zdominował grymas zdumienia i tłumionej furii, Marin odwróciła się na pięcie i poszła do swojego pokoju. Zdejmując sukienkę, usłyszała pukanie do drzwi i niski głos Jake'a.

- Marin, muszę z tobą zamienić parę słów.

- Poczekaj z tym do jutra. Jestem zmęczona.

- Czekanie nie leży w mojej naturze. - Po chwili dodał autorytarnie: - Liczę do trzech, a potem wchodzę.

Marin wpadła w panikę. Miała na sobie jedynie koronkową bieliznę.

- Raz... dwa...

- Jeszcze nie! - zawołała.

Zerwała z wieszaka kupiony za namową Lynne satynowy szlafrok i zarzuciła go szybko na siebie, przewiązując się mocno paskiem.

- Pięknie wyglądasz - rzekł po wejściu. - Twoja siostra ma nieskazitelny gust.

- Jeśli tylko to przyszedłeś mi powiedzieć...

- Nie. - Wszedł w głąb pokoju. - Clare Dawson, która bardzo cię polubiła, zdradziła mi dyskretnie, że podobno między tobą a Dianą doszło po kolacji do jakiegoś spięcia. - Pokręcił głową. - To moja wina. Gdybym tam został...

- Nic się nie stało - uspokoiła go, uśmiechając się blado. - Tę rundę chyba wygrałam.

- Obawiam się, że Diana dopiero się rozkręca. Cholera jasna, niepotrzebnie przyjąłem to zaproszenie! Mogłem się spotkać z Grahamem przy innej okazji.

Marin wzruszyła ramionami.

- Bywałam już w większych opałach - odrzekła, mając na myśli historię z mężem Adeli Mason.

- Nie musisz brać udziału w jutrzejszej „olimpiadzie” Diany. Wymyślimy ci jakąś wymówkę.

- Wykluczone! - zaprotestowała. - Kupiłam sobie nowy kostium kąpielowy. Nie może się zmarnować. A ja postaram się nie zrobić z siebie pośmiewiska.

- Jak sobie życzysz - powiedział bez przekonania. Po chwili namysłu dodał: - Lynne wspominała kiedyś, że wasi rodzice mają willę w Portugalii.

- To prawda.

- Dziwię się, że nie pojechałaś do nich po całym tym incydencie we Francji. Rodzice na pewno by ci pomogli.

- Wiem. Zawsze jednak staram się być niezależna. Bez względu na okoliczności. I konsekwencje.

Chciała również uniknąć rozlewu krwi. Wiedziała bowiem, że gdyby Derek dowiedział się, co Greg jej zrobił, poleciałby do Francji polować na niego z siekierą.

- Zamiast tego zwróciłaś się o pomoc do Lynne i wpadłaś w moje szpony. - Jego twarz wykrzywił smutny grymas. - Portugalia byłaby bezpieczniejszą opcją, moja droga.

- Tylko pozornie. Rodzice na pewno by chcieli, żebym u nich została. A tak, za trzy dni skończy się to niecodzienne zlecenie i już nigdy się nie spotkamy, panie Radley-Smith. - Poczła coś dziwnego, wypowiadając te słowa.

Jake przez długą chwilę milczał. Marin nie potrafiła rozszyfrować emocji kłębiących się w jego oczach. Przeniósł wzrok na jej usta, które jakby pod ciężarem jego spojrzenia lekko się rozchyliły. Położył dłonie na jej policzkach i nachylił się ku niej. Zaraz mnie pocałuje, pomyślała bez lęku, przeciwnie - raptem tego zapragnęła. Czas jakby się zatrzymał, za to jej serce biło coraz szybciej. On jednak tylko uśmiechnął się i szepnął łagodnie:

- Dobranoc, Marin.

Odwrócił się i wyszedł, zamykając za sobą bezdźwięcznie drzwi. Marin zastanawiała się, czy wyczuł, że miała ochotę na pocałunek.

I czy on również tego chciał.

Pocałunku prawdziwego, na osobności, bez widowni.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Przez większą część nocy nie mogła zasnąć. Ilekroć sen łaskawie na nią spływał, budziła się po chwili, dręczona jakimś dziwnym niepokojem. Nie, wcale nie dziwnym. Wiedziała doskonale, co jest jego źródłem - bała się, że drzwi łączące jej pokój z sypialnią Jake'a nagle się otworzą, tak jak wczoraj, i... Nie, nie chciała nawet wspominać tej sceny. Za oknem dopiero wstawał dzień. Wzięła zimny prysznic, włożyła białe lniane szorty i granatowy podkoszulek. Zeszła na palcach po schodach z zamiarem udania się na spacer po ogrodzie.

Dom był pogrążony w ciszy, którą mąciły jedynie hałasy i głosy dobiegające z kuchni; najwyraźniej służba przygotowywała już śniadanie. Marin wyszła na zewnątrz, nabierając w płuca haust rześkiego powietrza. Na trawie niczym małe diamenciki lśniły krople rosy. Korony drzew odzywały się raz po raz ptasim trelem. Wkroczyła do ogrodu, który zapierał dech w piersi. Gdziekolwiek spojrzeć, eksplozja kolorów, ściany kwiatów i kwitnących krzewów. Przez kwadrans spacerowała po ogrodzie, rozkoszując się tym niemal magicznym doznaniem. Czuła się jak dziecko zagubione w bajkowym labiryncie. Pozazdrościła Halsayom, że mają do dyspozycji tak cudowne miejsce.

Następnie poszła obejrzyć basen. Nachyliła się i zanurzyła dłoń w letniej turkusowej wodzie.

- Potajemny trening, panno Wade?

Natychmiast się wyprostowała, wystraszona, z sercem dudniącym w uszach. Odwróciła się i ujrzała Dianę stojącą kilka metrów dalej. Miała na sobie szare spodnie i różową koszulę z jedwabiu, a na twarzy swój charakterystyczny, wyniosły uśmiech.

- Tylko sprawdzam wodę, pani Halsay - odparła Marin, przeklinając w myślach właścicielkę posiadłości, która zepsuła jej ten wspaniały spacer.

- Ranny z pani ptaszek. I taki cichy i uroczy... Zrobiła pani duże wrażenie na moim mężu. Powiedział, że jest pani *belle-laide*, jak mawiają Francuzi. Czyli nie do końca piękna, lecz osobliwie atrakcyjna - wyjaśniła, nie doceniając znajomości języka francuskiego swej rozmówczynie.

- Nie wiedziałam, że moja osoba jest tematem państwa rozmów.



Diana machnęła ręką, poirytowana.

- Och, daj spokój, skarbie. Przecież nie jesteś aż tak naiwna. Musisz sobie jednak coś uzmysłwić - dorzuciła ostrzejszym tonem. - Nie wiem, na czym polega ta twoja żalosna intryga i co chcesz nią osiągnąć, ale możesz mieć pewność, że nikogo nie nabierzesz, może z wyjątkiem starego Grahama, który uważa, że jesteś naprawdę miłą dziewczyną.

- Nie mam pojęcia, o czym pani mówi - odparła Marin, wytrzymując przenikliwe spojrzenie rozmówcy. - Nie knuję żadnej intrygi.

- Mam nadzieję. Bo, uwierz mi, skarbie, jesteś z góry skazana na porażkę - syknęła Diana.

- Próbujesz zastraszyć konkurencję? - rozbrzmiał nagle głos Jake'a, który zbliżał się do nich, maszerując przez trawnik. - To nie fair. - Podeszedł do Marin i pocałował ją lekko w usta. - Nie było cię u mojego boku, kiedy się obudziłem. To również jest nie fair - dodał karcąco, lecz z uśmiechem.

- Nawet pod tym względem jesteśmy do siebie podobni, Jake - odezwała się Diana. - Ustanawiamy własne zasady i dowolnie je zmieniamy, kiedy tylko przyjdzie nam na to ochota. Wszyscy troje powinniśmy o tym pamiętać - dodała enigmatycznie. - Zapraszam na śniadanie.

Odwróciła się i odeszła, uprzednio częstując Jake'a i Marin wrogim, zawistnym spojrzeniem.

- Nic ci nie jest? - zapytał Jake przejętym tonem.

- Oczywiście, że nie. - Marin zrobiła krok w tył.

- Skąd wiedziałeś, że tu jestem?

- Zobaczyłem przez okno, jak wychodzisz z ogrodu. A potem zobaczyłem, że śledzi cię Diana. Przybiegłem jak najszybciej.

- Ona nadal nie wierzy, że... jesteśmy parą.

- Tak powiedziała?

- Nie wprost. Ale taki był ukryty sens jej słów.

Jake westchnął głośno, przeczesując dłonią zmierzwiłone włosy.

- Marin, musimy być bardziej przekonujący - zdecydował.

Poprosił, by usiedli na pobliskiej ławeczce.

- Musimy się bliżej poznać.

- To zbędne - odrzekła oziębło. - Wiemy o sobie wystarczająco dużo, by przebrnąć przez następne dwadzieścia cztery godziny. Po których znowu będziemy dla siebie obcymi ludźmi wiodącymi oddzielne życia - powiedziała, ignorując dziwny ucisk w sercu.

- Śmiem polemizować - rzekł miękki tonem. - Uważam, że nasza znajomość dopiero rozkwita. A nasze życia będą się nieuchronnie przenikać.

Marin zmarszczyła brwi.

- Co masz na myśli?

- Aktualnie mieszkasz w moim apartamencie - przypomniał jej. - Czy chcesz tego, czy nie, jest to nasz punkt styczny. Dosłownie i w przenośni.

- Długo u ciebie nie zabawię. Nie straciłam pracy w agencji. Wkrótce zacznę się rozglądać za nowym lokum. A wówczas nie będę zabiegać o kontakt z tobą możesz mi wierzyć.

Przez długi czas Jake milczał; czuła na twarzy jedynie jego intensywne spojrzenie.

- Dla wszystkich klientów jesteś taka niemiała?

- Nie - odparła szczerze. - Ale ty nie jesteś moim klientem.

- Technicznie rzecz biorąc, jestem twoim tymczasowym szefem - rzekł z przekonaniem. - Przecież wykonujesz dla mnie, jak to ujęłaś, niecodzienne zlecenie.

Które polega na tym - dokończyła w myślach - że zniechęca rzucasz się na mnie, wkładasz mi ręce pod bluzkę i zaczynasz mnie gorączkowo całować, pozbawiając mnie tchu i rozumu... Cała scenka, rzecz jasna, odegrana specjalnie dla Diany Halsay, przy której, używając słów męża Adeli Mason, jestem „żałosną parodią kobiety”. Zresztą zupełnie w tym wszystkim się nie liczę. W tamtej chwili równie dobrze mogłabym być figurą woskową lub dmuchaną lalką. Jake'owi wszystko jedno. Nawet jeśli czasami czuję w jego głosie lub widzę w jego oczach jakieś cieplejsze, głębsze uczucie, jest ono przecież jedynie częścią roli, którą gra, by nie stracić intratnego interesu z firmą pana Halsaya. Z jakiegokolwiek strony na to spojrzeć, w tym wszystkim chodzi tylko o pieniądze - zakończyła swe rozmyślenia gorzką refleksją.

- Ta rozmowa prowadzi donikąd - oświadczyła, wstając z ławki. - Idę na śniadanie. Muszę się posilić przed pływaniem.

Jake nie wstał.

- Ja tu jeszcze trochę posiedzę. Mam kilka spraw do przemyślenia. - Po chwili dodał: - Wybacz, że nie będę mógł ci kibicować i cię dopingować, ale muszę odbyć poważną rozmowę z Grahamem.

- Wiem. Przecież to jedyny powód, dla którego tu jestem.

- Nie, nie jedyny. - Spojrzała na niego pytająco. W nadziei, że... powie coś, co podświadomie chciała usłyszeć. Coś nagle jej wyzna? Lub chociaż powie jakieś miłe słowo?  
- Zapomniałaś o pieniądzach.

Poczuła, jak uchodzi z niej powietrze niczym z przekłutego balonika.

- Nie. Nie zapomniałam - wydukała przez ściśnięte gardło.

Ruszyła szybkim marszem w kierunku domu. Po jakimś czasie usłyszała, jak Jake wykrzykuje z oddali jej imię. A może tylko się jej zdawało? Nie odwróciła się, by sprawdzić.

Rześki poranek przerodził się w piekielnie upalny dzień. Z nieba lał się żar. Marin siedziała pod wielkim parasolem przy basenie, czekając na finałowy pojedynek.

Jako pierwsi zmierzyli się mężczyźni. Chaz wygrał z Robem Bannisterem, w nagrodę otrzymał butelkę luksusowego szampana Cristal. Kiedy przyszła kolej na panie, Clare Dawson, podobnie jak jej mąż, odmówiła aktywnego udziału w zawodach, preferując rolę widza. Diana z łatwością wygrała z Fioną Stratton, Marin bez większego problemu pokonała Sylvię Bannister.

Za chwilę do pojedynku miały stanąć Marin i Diana. Wszyscy zebrani doskonale zdawali sobie sprawę, że w tym starciu nie chodzi jedynie o to, która z pań szybciej pływa.

Jeśli chodzi o prezencję, bije mnie na głowę, pomyślała Marin. Diana miała na sobie białe bikini - tak skąpe, że niemal niewidoczne, maksymalnie eksponujące jej seksowne ciało. Dla kontrastu Marin była ubrana w prosty, czarny, jednoczęściowy strój kąpielowy. Nie uszły jej uwadze pełne drwiny uśmieшки Diany i Sylvii; zresztą celowo się

z nimi obnosiły. Robert Bannister głośno obstawiał zwycięstwo gospodyni, tak samo jak mąż Fiony, Chaz, który nadal tulił z uczuciem swą butelkę drogiego szampana.

- My kibicujemy tobie, skarbie - szepnęła Marin na ucho Clare Dawson. - Nie zawieź nas.

Z początku wyścig był wyrównany. Obie płynęły kraulem, lecz pod względem techniki różniły się diametralnie. Diana prućła przez wodę w efektownym, lecz forsownym stylu, chlapiąc na wszystkie strony, wyginając swe smukłe ciało, natomiast Marin płynęła spokojnie, harmonijnie, jakby urodziła się w wodzie.

Nie zawiodła Dawsonów.

Dopłynęła do mety co najmniej trzy sekundy wcześniej niż Diana.

Zamknęła oczy, łapiąc oddech, słysząc słowa pocieszenia kierowane do Diany: „pech, nic więcej!”, „nawet najlepszy czasem przegrywa”, „pływasz jak delfin, Diano, jak piękny delfin...”. Nadal telepiąc się z nerwów, Marin raptem poczuła, jak silne ramiona wyciągają ją z wody i stawiają na ziemi, a potem zamykają jej drobne ciało w mocnym uścisku.

- Brawo, kochanie! Straciłem już rachubę, jeśli chodzi o twoje ukryte talenty - zachwycał się Jake na głos.

Nadal przyciskając ją do swojego twardego, muskularnego ciała, pocałował Marin w usta, ssąc jej wargi, smakując jej język i rozpalając w jej brzuchu ogień. Straciła nad sobą kontrolę; jej ciałem zawładnęła jakaś dzika, pogańska żądza. Oplotła ramionami jego szyję, nogami jego biodra, co do kropli chłonąc słodycz jego ust. Jej zmysły oszalały. Poczowała tę palącą, głęboką, najgłębszą potrzebę, o której istnieniu do tej pory nawet nie wiedziała. Usłyszała głos pożądania, który ją zdumiał, oszołomił, prawie zupełnie zdominował.

Jake w samą porę przerwał pocałunek. Poczekał, aż oddech Marin się uspokoi, po czym delikatnie postawił ją na ziemi. Pocałował ją raz jeszcze, lecz tym razem niezwykle łagodnie, niebywale czule, w czubek nosa. Marin podniosła powieki i dopiero w tej chwili przypomniała sobie, że nie są sami. Przeciwnie, nagle poczuła na sobie wzrok wszystkich obecnych. Powoli odwróciła głowę i zerknęła na nich; wszyscy mieli zdumione bądź zniesmaczone miny. Po długiej, piekielnie krępującej chwili milczenia, które

aż dudniło w uszach, podeszła do nich Diana. W dłoniach miała butelkę szampana, a na twarzy sztywny uśmiech, który wyglądał jak namalowany, wycięty i przyklejony.

- Oto nagroda dla zwyciężczyni - oznajmiła, unosząc w powietrze butelkę Cristala i przeskakując lodowatym wzrokiem z Marin na Jake'a i z powrotem. - Domyślam się, że swoją prawdziwą nagrodę otrzymasz później, w zaciszu waszej sypialni - dodała z cichym chichotem.

W tym momencie Marin naprawdę miała ochotę ją spoliczkować.

- Diano - odezwał się Graham wyjątkowo poważnym tonem. - Twoja zbędna uwaga sprawiła, że panna Wade czuje się zakłopotana.

- Och, nie przesadzajmy - odrzekła. - To dorosła kobieta, która na pewno umie docenić trafny, dowcipny komentarz. Tak czy inaczej, okazuje się, że nasza syrenka jest wbrew pozorom dość wyjątkową istotą, nieprawdaż, Jake?

Jake spojrzał na swoją byłą kochankę z kamienną miną.

- Owszem - potwierdził. - Marin bezustannie zapiera mi dech w piersi. Żadnej innej kobiecie nigdy się to nie udało.

Uśmiech Diany ani drgnął. W jej oczach widoczne było jednak prawdziwe cierpienie, jakby przed chwilą Jake złamał jej serce.

Marin wzięła od niej swoją nagrodę, niemal bezgłośnie mówiąc „dziękuję”. Może ona rzeczywiście jest zakochana w Jake'u? - pomyślała nagle. W tej chwili współczuła Dianie. Świadomość, że pragniesz kogoś niedostępnego, nieosiągalnego, i że żaden inny mężczyzna nie przyniesie ci spełnienia i szczęścia, jest przecież istną torturą, czystą agonią. Koszmarem, który czasem nigdy się nie kończy.

Czymś, czego nigdy, przenigdy nie chcę zaznać! - zarzekła się Marin. Od razu jednak usłyszała w głowie prześmiewczy głos: w takim razie dlaczego go pocałowałaś? Twoja rola tego nie wymagała. Nie musiałaś zareagować na jego pocałunek, odpowiedzieć na niego z taką obłądną pasją...

- Chodź, kochanie - odezwał się Jake, przerywając jej rozmyślania. Owinał ją ręcznikiem niczym sarongiem i dodał łagodnym tonem: - Musimy wziąć prysznic i się przebrać. Zbliża się pora lunchu.

Marin oddała mu butelkę, wsunęła stopy w sandaalki i na wciąż miękkich nogach ruszyła u jego boku w kierunku domu.

- Zamoczyłam twoje ubranie.

- Nic mu nie będzie - odparł.

- Celowo wspomniałeś o prysznicu, prawda? - zapytała niepewnie. - Tylko po to, żeby uwierzyli, że jesteśmy razem... tak?

- Tak, tylko po to. Nie masz się czego obawiać - mruknął.

Marin poczuła nie do końca to, co chciała poczuć.

- Jak ci poszła rozmowa z panem Halsayem? - spytała, by zmienić temat.

- Nadzwyczaj dobrze. - Jego usta, których smak Marin nadal czuła na swoich wargach, ułożyły się w lekki uśmiech. - Śmiem twierdzić, że spora w tym twoja zasługa. Bardzo przypadłaś mu do gustu. Z tego, co zauważyłem, i ty być może również, Graham ma do ciebie ojcowski stosunek. - Po chwili dodał: - Zaprosił mnie na partyjkę golfa. Jedyne po lunchu. Wybierzesz się z nami?

- Nie, nie chcę i nie powinnam. Mamy udawać kochanków, a nie papużki nierozłączki.

Jake wzruszył szerokimi ramionami.

- Jak sobie życzysz. Muszę cię jednak ostrzec. Diana po lunchu organizuje mecz krokieta. Będzie się domagać rewanżu za poranną porażkę.

- Bez obaw. Pójdę na spacer do miasta.

- Do zobaczenia wieczorem.

Rozeszli się do swoich pokojów, wcześniej jednak Marin oddała Jake'owi swoją nagrodę, mówiąc, że i tak nie doceniłaby smaku tego luksusowego trunku. Przede wszystkim jednak nie chciała trzymać w pokoju symbolu zwycięstwa, którego, jej zdaniem, wcale nie odniosła. To wszystko - łącznie z niesamowitym, słodkim pocałunkiem - było przecież jednym wielkim kłamstwem.

Tak, Lynne rzeczywiście ma nieskazitelną gust, pomyślała Marin, patrząc na zieloną niczym liście róży sukienkę z tafty, którą po chwili włożyła i jeszcze bardziej utwierdziła się w tym przekonaniu. Intensywny kolor wspaniale kontrastował z jej kremową cerą, lśniący materiał dodawał szmaragdowego błysku jej orzechowym oczom. Nato-



miast gorsetowy krój zarazem podkreślał to, co ledwie zakrywał. Mój Boże! - pomyślała, niemal dławiąc się śmiechem - pierwszy raz w życiu mam biust! Włosy postanowiła pozostawić rozpuszczone; spływały lśniącymi kaskadami na jej nagie ramiona, pełniąc w pewnym sensie funkcję kotary, za którą czuła się bezpieczniej. Wsunęła stopy w zielone sandały na wysokim obcasie, a w dłoń chwyciła dopasowaną kolorystycznie kopertówkę.

O umówionej godzinie wyszła z pokoju. Czas znowu udawać, pomyślała. Tym razem jednak nie do końca była pewna, kogo chce oszukać. Najbardziej niewygodna była myśl, że być może przede wszystkim siebie samą.

Zapukała do drzwi Jake'a, które po chwili się uchylily. Przed oczami Marin stanął zapierający dech w piersi widok. Jake Radley-Smith w wytwornym, wieczorowym garniturze prezentował się tak diablo bosko, że aż przełknęła głośno, zanim zdołała wykrztusić z siebie zdawkowe powitanie. On natomiast przesunął powoli wzrokiem po całym jej ciele i wyszeptał:

- Muszę dać Lynne nie tylko podwyżkę, ale i sową premię. - Na usta Marin zabłąkał się kruchy uśmiech. - Wyglądasz prawie tak pociągająco, jak wtedy, w ręczniku...

- Wolałabym zapomnieć o tamtym wieczorze.

- A ja wprost przeciwnie - odparował niskim, zmysłowym tonem.

- Oboje doskonale wiemy, że za tydzień nie będziesz nawet pamiętał mojego imienia. Ja twojego też nie - dodała kąśliwie.

Na jego twarzy pojawił się przelotny, sceptyczny uśmiech.

- Chodźmy na dół. Lwy już czekają, by nas rozszarpać - rzucił, zamykając drzwi swojego pokoju.

Marin pomyślała, że bardziej niż drapieżnego towarzystwa nieprzychylnych im ludzi obawia się czegoś zupełnie innego.

W milczeniu zeszła u jego boku do salonu.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Diana zaprosiła na kolację grupkę najważniejszych miejscowych VIP-ów. Jeszcze więcej osób, już zwykłych śmiertelników, miało się stawić później, na dyskotece zorganizowanej w ogromnej oranżerii na tyłach posesji.

Gdy Diana ujrzała swoją rywalkę, mina jej zrzędła, a oczy zapłonęły nieskrywaną wrogością. Jej reakcję Marin odebrała jako komplement. Chyba pierwszy raz w życiu czuła się dobrze we własnej skórze. Nie zdziwiła się, gdy została usadzona przy Chazie Strattonie, który zapewne wcześniej już napoczął swojego Cristala, opromienionego jego pływackim triumfem, a teraz nieco chaotycznie relacjonował mecz krokietu; ponoć Diana „rozgromiła” przeciwników. Marin co jakiś czas jedynie uprzejmie przytakiwała, skrycie poskramiając pokusę, by wylać mu na głowę talerz zupy z porów, którą pałaszował, mlaszcząc i siorbiąc. Naszła ją refleksja, że w przypadku wielu tak zwanych światowców i bywalców, ich rzekomo wysoka kultura osobista to jedynie cienka politura.

Jej drugim sąsiadem był miejscowy członek parlamentu, kościsty, siwowłosy człowiek, który lubował się w rozwlekłych monologach, nie bacząc na to, że nikt go nie słucha. Po drugiej stronie stołu siedział Jake, zabawiany przez jakąś piekielnie atrakcyjną brunetkę. Ów widok zupełnie odebrał Marin apetyt. Główne danie ledwie rozgrzebała widelcem po talerzu, a deseru, pysznie wyglądającego puddingu, nawet nie tknęła. Siedziała ze ściśniętym gardłem, usiłując zagłuszyć tępy ból w piersi.

Boże, pomyślała, jak mogłam pozwolić, by to zaszło tak daleko? Jak mogłam dopuścić, by zaczęły we mnie kiełkować uczucia, których wcale nie chcę i których się boję? W cały ten teatrzyk odgrywany jedynie dla pieniędzy Marin niepostrzeżenie zaangażowała swoje serce i umysł. Nagle myśl o tym, że już jutro ich drogi się na zawsze rozejdą, stała się trudna do zniesienia. Poczwała na sobie wzrok Jake'a. Wiedziała, że nie może na niego spojrzeć, nie może zdradzić się ze swoimi emocjami, które na pewno kłębią się teraz w jej oczach. Utkwiła więc wzrok w swoim kieliszku, wpatrując się w niego tak, jakby krył w sobie wszystkie tajemnice wszechświata. Muszę być ostrożna, nakazała sobie w duchu. Rozważna i ostrożna.

Z ulgą powitała koniec kolacji. Całe towarzystwo przeniosło się do oranżerii, gdzie już tłumnie stawiała się reszta zaproszonych gości, w dużej mierze okoliczna młodzież, żadna zabawy w takt głośnej muzyki. Marin nie tańczyła od czasów liceum, lecz gdy tylko jeden z chłopców z właściwą młodzieży bezceremonialnością porwał ją na parkiet, odkryła, że jej ciało nie zapomniało, jak się z gracją poruszać w rytm najnowszych przebojów. Wzbudzała spore zainteresowanie wśród przedstawicieli płci przeciwnej; co chwila ktoś materializował się u jej boku, wyginając się mniej lub bardziej umiejętnie, pozerając ją wzrokiem i flirtując. To było nieco krępujące, lecz w gruncie rzeczy szalenie miłe. Gdy w pewnym momencie na parkiecie dostrzegła Jake'a, wokół którego zmysłowo wiła się seksowna brunetka, poczuła w sercu ostre ukłucie zazdrości. Odwróciła wzrok i znowu zatraciła się w muzyce zagłuszającej wszelkie myśli.

A potem stało się to, czego Marin najbardziej się obawiała. DJ przestał puszczać energiczne, skoczne przeboje i rozpoczął festiwal romantycznych ballad, zachęcając pary do tego, by się do siebie zbliżyły, dotknęły, objęły.

Nagle u jej boku wyrósł Jake.

- To chyba nasz taniec - odezwał się aksamitnym głosem.

Marin spojrzała na niego oczami wystraszonej sarny, czując w piersi oszalałe bicie serca. Wiedziała, że nie może z nim zatańczyć. Nie może znowu skazać swych zmysłów na obezwładniającą bliskość jego ciała.

Zrobiła krok do tyłu, przywołała na usta uprzejmy uśmiech i oświadczyła:

- Wybacz, ale nie mogę. Wytańczyłam się za wszystkie czasy, a teraz padam z nóg. Pójdę się już położyć.

Jake milczał przez długą chwilę. Jego twarz była nieprzeniknioną maską. Odrzekł wreszcie z przesadną kurtuazją:

- Doskonale rozumiem, kochanie. Przyrzekam, że wrócę do pokoju na palcach, by nie zakłócić twojego snu.

- Dziękuję.

Wróciła do willi. Zamknęła za sobą drzwi pokoju, który rozmył się pod wpływem łez w jej oczach. Przez otwarte na oścież okno wlatywały niesione przez nocną bryzę dźwięki romantycznych ballad. Zatrzasnęła okno z cichą furią. Ciekawe, czy Jake teraz

tańczy wolny, zmysłowy taniec z tą swoją brunetką? To nie twój interes, usłyszała ostry głos w głowie. Rozbierz się i idź spać, a wcześniej sporządź listę rzeczy, które zabierzesz ze sobą do Essex.

Ostatni raz spojrzała na swoje odbicie w lustrze, by się pożegnać z tą atrakcyjną, obcą kobietą w seksownej sukience. Tego wieczoru pierwszy raz w życiu poczuła się kimś pięknym i ponętym. Pierwszy i zapewne ostatni.

Sięgnęła ręką do zamka na plecach. Pociągnęła. Ani drgnął. Spróbowała raz jeszcze. Znowu bezskutecznie. Chciała okręcić gorset, by zobaczyć, w czym problem, lecz tak mocno obciskał jej ciało, że ów manewr okazał się niewykonalny. Pół godziny później, wyczerpana, z obolałymi rękami, dała za wygraną. Podeszła do łóżka, zgaszyła lampkę, ostrożnie, by nie pognieść materiału, położyła się na plecach na łóżku i po kilku minutach zasnęła.

Obudził ją jakiś hałas. Podniosła powieki i ujrzała nad sobą Jake'a. Stał prawie nagi, przewiązany jedynie w biodrach ręcznikiem, z mokrymi włosami zaczesanymi do tyłu. Zapalił lampkę i obrzucił ją zdziwionym spojrzeniem.

- Byłaś aż tak zmęczona, że zasnąłaś w sukience? - zapytał półgłosem.

- Nie. Zamek się zaciął - odparła zakłopotana.

Jake uniósł brew.

- Zadzwoń po panią Martin. Pomoże ci się wyswobodzić.

- O tej porze? Poza tym - dodała po krótkim namyśle - czyż nie mamy udawać kochanków? Wyglądałoby podejrzanie, gdybym zawołała gosposię, zamiast poprosić o pomoc mojego ukochanego - zakończyła, wypowiadając ostatnie słowo z ironicznym grymasem.

- Mądre rozumowanie - pochwalił ją.

- Czy mógłbyś spróbować to ze mnie zdjąć? - zapytała zniecierpliwiona.

- Obawiam się, że nie - odrzekł nieco urażonym tonem. - Musiałbym cię dotknąć, a ty sobie tego nie życzysz.

- To bez znaczenia...

- Jeszcze godzinę temu, kiedy chciałem z tobą zatańczyć, to, do diabła, stanowiło dla ciebie poważny problem.

Wciąż leżąc, wzruszyła ramionami, co było nie lada sztuką.

- Doszłam do wniosku, że skoro tak dobrze bawisz się w towarzystwie tamtej brunetki...

Jake zmarszczył czoło.

- Masz na myśli uroczą Vanesę? - zapytał sardonycznym tonem. - Aktualnie samotną nimfomankę, w ostatniej chwili dodaną do listy gości?

Marin skinęła głową.

- Na miłość boską, Marin, przecież to był perfidny, i bardzo naiwny, fortel Diany! Nie rozumiesz? Przez całą kolację wysyłałem ci nieme sygnały SOS, ale ty nie raczyłaś nawet na mnie spojrzeć.

- Po co Diana miałaby zrobić coś takiego? - zapytała, ignorując jego pretensje.

- Pewnie po to, by pokazać swojemu mężowi, że jestem niegodnym zaufania łajdakiem i seryjnym uwodzicielem, z którym należy zerwać kontakty zarówno osobiste, jak i biznesowe. - Westchnął ciężko. - A teraz wstań i odwróć się. - Uczyniła tak, jak rozkazał. - Weź głęboki wdech. I ani drgnij.

Łatwo powiedzieć, pomyślała, czując na swojej skórze muśnięcie jego dłoni, a na szyi jego ciepły oddech. Odniosła wrażenie, jakby przez każdą jej komórkę przeszedł prąd.

Jake zagwizdał pod nosem.

- W zamku utkwił wielki kawał podszewki. Chyba trzeba będzie rozcinać materiał nożycami.

- Nie! - zaprotestowała natychmiast. - Ta sukienka jest zbyt piękna i droga, by ją niszczyć. Może jednak spróbujesz ją rozpiąć?

- Na twoją odpowiedzialność.

Przymknęła powieki i zacisnęła dłonie w pięści, by opanować drżenie całego ciała wywołane bliskością Jake'a. Modliła się w duchu, by jak najszybciej uporał się z zamkiem. A z drugiej strony, by nie przestawał jej dotykać.

- Udało się! - rzekł triumfalnie. - Zamek trochę się poruszył. Możesz jeszcze przez chwilę nie oddychać?

- Nie ma problemu - skłamała.

Wsunał dłonie pod materiał sukienki, kładąc je na jej nagich plecach. Przygryzła wargę, by nie wydać z siebie cichego westchnienia.

- *Voilà!* - powiedział Jake, rozpiąwszy zamek do samego końca.

Marin zacisnęła palce na sukience, by się nie ześliznęła. Usłyszała głos rozsądku: a teraz podziękuj mu grzecznie, powiedz „dobranoc” i zamknij za nim drzwi na klucz. Okazało się, że to nie takie łatwe. Jake zbliżył się do niej i położył dłonie na jej nagich ramionach, kciukami gładząc jej skórę. Czuła ciepło jego ciała, do jej nozdrzy wdzierał się jego zapach, od którego zakręciło jej się w głowie. Przerwij tę scenę, zanim będzie za późno! - odezwał się znowu rozsądek. Nigdy przecież nie robiła takich rzeczy. Nie prowokowała takich sytuacji. To była jedna z jej żelaznych zasad. Lecz może tylko dlatego, że nigdy wcześniej nie poczuła prawdziwej pokusy? Prawdziwego pożądania?

Jedna noc, pomyślała resztką przytomnych myśli. Taka szansa już się nigdy nie powtórzy. Jedna, jedyna noc...

Odgarnął włosy z jej pleców i przywarł wargami do jej skóry, całując ją powoli, subtelnie, jakby muskały ją skrzydła motyla. To delikatne doznanie wywoływało jednak w jej wnętrzu istny huragan, którego nie potrafiła okiełznać.

Raptem zrobił krok w tył, odrywając od niej ręce i wargi. Poczowała się kompletnie zagubiona, zawieszona w próżni. Powodowana rozpaczliwym, silniejszym niż wszystko inne na świecie impulsem, wyprostowała palce i puściła materiał. Sukienka opadła na ziemię, ukazując jej nagie - prócz prześwitującej, koronkowej bielizny - ciało.

Odwróciła się do niego powoli i ujrzała jego rozchylone usta i roziskrzzone błękitne oczy. Pokręcił głową i rzekł bezgłośnie: „nie”.

Marin jednym szybkim ruchem przylgnęła do jego twardego torsu i oplotła rękami jego szyję. Nie cofnął się; przytulił ją mocno. Nie była już sobą, tylko wijącym się w jego ramionach płomieniem pożądania. Zainicjowała pocałunek, zachłanny, namiętny, prowadzący do jedyne go możliwego finału.



## ROZDZIAŁ ÓSMY

Marin leżała w bezruchu, bez tchu, czując, jak po całym jej wnętrzu rozlewa się słodycz tego, co przed chwilą się zdarzyło. Spróbowała objąć to umysłem, lecz na próżno. Ich ciała nadal były splecione. Razem opadali bezwolnie ze szczytu rozkoszy, tej najwyższej, dostępnej śmiertelnikom, która jeszcze kilka chwil temu była dla Marin abstrakcją, a teraz cudowną, magiczną rzeczywistością. Po jej policzku spłynęła pojedyncza łza.

- Nie płaczę ze smutku - uspokoiła go. - Wprost przeciwnie.

Uśmiechnęła się w spowijającej ich ciemności.

- To dobrze - odrzekł, i pocałował uśmiechem jej uśmiech. - Mój cnotliwy aniele...

- Już nie. Czyżbyś zapomniał?

W ferworze namiętności z ust Marin uleciał tłumiony krzyk. Jake znieruchomiał, patrząc na nią w zdumieniu. Odruchowo chciał przerwać miłosny uścisk, lecz ona przygłęła do niego kurczowo i czując, jak ostry, chwilowy ból ustępuje, rozplywa się w morzu dzikiej, słodkiej rozkoszy, wyszeptała: „Nie przestawaj... proszę...”. Spojrzał głęboko w jej zamglone oczy. „Wiem, co robię. Pragnę tego”, dodała. Niebawem łagodnie zaczął to, co przerwał, i po chwili znowu zaczęli się wznosić na błyskawicznie rosnącej fali ekstazy.

- Prawdę powiedziawszy, cierpię na nagły zanik pamięci - rzekł teraz z udawaną powagą. - Przypomnij mi, co przed chwilą robiliśmy.

Otworzyła usta, lecz nie wiedziała, w jakie słowa ubrać to wstrząsające przeżycie. Poczowała, jak jej policzki oblewa płomienny rumieniec. Jake znowu zaczął całować jej szyję, ramiona i piersi...

- Tak, to... - jęknęła.

- Chyba zaczynam sobie przypominać - wyszeptał niskim, gardłowym głosem.

I znowu zabrał ją prosto do nieba.

Gdy obudziła się kilka godzin później, pokój był już cały ozłocony przez promienie słońca. Zerknęła na Jake'a; wciąż był pogrążony we śnie. Leżała, z podziwem chło-

nąc wzrokiem jego nagie, muskularne, idealnie wyrzeźbione ciało, które ubiegłej nocy podarowało jej tyle pięknych chwil. Ostrożnie wysliznęła się z jego ramion, a potem z łóżka. Podniosła z podłogi swoją wczorajszą, soczyście zieloną, nieco wygniecioną kreację. To wszystko przez ciebie... a raczej, dzięki tobie, pomyślała z uśmiechem, wieszając ją na oparciu krzesła. Wzięła szybki prysznic, włożyła prostą, białą spódnicę z lnu, czarny top i wymknęła się na korytarz przez drzwi pokoju Jake'a.

Przeszła przez opustoszały salon na taras. Stała przy balustradzie, spoglądając na ogród i chłonąc promienie słońca. Niech ta magia trwa, pomyślała. Patrząc na trawnik, w którym błyszczały jeszcze krople rosy, miała ochotę wbiec na niego, zrzucić buty i tańczyć z radości.

Z twarzą rozświetloną uśmiechem, odwróciła się, by wrócić do pokoju i znowu ułożyć się w ramionach Jake'a. Nagle zastygła w pół kroku. Poczowała, jak skóra jej cierpnie na widok osoby stojącej tuż przed nią.

- Kolejny uroczy poranek, kolejne nasze spotkanie. - Twarz Diany była ironiczną, idealnie piękną, lecz odpychającą maską. - Och, jakaś ty dzisiaj wesolutka, panno Wade. Czyżby Jake wreszcie się nad tobą zlitował? - Przyjrzała się Marin uważnie i zaśmiała się głośno. - Widzę, że owszem!

- Nie wiem, co ma pani na myśli - odrzekła Marin, lecz jej policzki oblał szkarłat.

Jej ciało ją zdradziło. Spuściła wzrok.

- To było chyba nieuniknione. Choć jestem pewna, że z początku Jake nie brał tego nawet pod uwagę. Widzisz, skarbie, ja ani przez sekundę nie dałam się nabrać na ten wasz nędzny, nieudolny teatrzyk. Stary, naiwny Graham może sobie myśleć, że Jake wreszcie się zakochał, lecz my troje znamy brzydką prawdę. Wiemy, że to tylko zmyślna akcja, którą wyreżyserował pan Radley-Smith, by podreperować swój wizerunek. Zapewne zrelacjonowałaś mu naszą wczorajszą rozmowę, a on uznał, że musicie pójść krok dalej, aby uwiarygodnić waszą szopkę. Ty zresztą, skarbie, nie protestowałaś zbyt energicznie, nieprawdaż? - Marin milczała, płonąca ze wstydu i gniewu. - Wprost przeciwnie. Nie uszło niczyjej uwagi, że cały weekend ganiałaś za nim z wywieszonym językiem, niemal śliniąc się na jego widok. To było mało estetyczne. Jake, rasowy dżentelmenem, jak również sprytny biznesmenem, zlitował się nad tobą, dzięki czemu upiekł dwie pie-

czenie na jednym ogniu. - Po chwili namysłu dodała: - Skarbie, jesteś mi winna podziękowania. Gdyby nie ja, Jake nigdy, przenigdy by się z tobą nie przespał.

Marin poczuła w gardle gorzki smak. Zebrało jej się na mdłości. Przełknęła głośno i wycedziła przez zaciśnięte zęby:

- Jak pani śmie w ten sposób do mnie mówić? Nie mam zamiaru dłużej tego słuchać!

- Wielka szkoda, bowiem dopiero teraz mamy wspólny temat do rozmowy. - Usta kobiety wykrzywił lubieżny uśmiezek. - W łóżku jest jak marzenie, nieprawdaż? - Nachyliła się do Marin i zniżyła głos. - On doskonale wie, jak sprawić, by kobieta się wiała, wiała i płonęła z rozkoszy. Jestem pewna, że szczerze nagroził cię za to, że byłaś taką grzeczną dziewczynką.

Z ust Diany wydobył się głośny, piskliwy śmiech.

- Skoro jednak jesteś dziś w stanie się poruszać, skarbie, to znaczy, że Jake ubiegłej nocy nie był w zbyt, powiedzmy, frywolnym nastroju.

Marin znowu zemdliło. Miała wrażenie, że słowa Diany wyżerają jej wnętrzości niczym kwas. Uniosła jednak głowę i oświadczyła:

- Jest pani wulgarna. Wulgarna i nieludzko podła.

- A ty, panno Wade, jesteś głupiutka i naiwna - odparowała Diana. - Przez miesiąc będziesz jego zabaweczką. Na więcej nie licz. On bardzo szybko się nudzi.

- Na więcej nie liczę - odrzekła Marin głuchym głosem, który wypłynął z głębi czarnej dziury wirującej w jej wnętrzu. - Dziękuję za troskę. Żegnam, pani Halsay.

Wyminęła ją, przemaszerowała przez pusty salon i zeszła schodami na dół do toalety przy szatni. Zamknęła drzwi na zasuwę, nachyliła się nad umywalką i poddała się torsjom. Miała wrażenie, że wypluwa swoje serce, z którego zostały już tylko krwawe strzępy.

Kiedy mdłości minęły, przemyła twarz zimną wodą. Spojrzała w lustro. Podkrążone, zamglone oczy; skóra dziwnie rozświetlona, blada, niemal przezroczysta; usta opuchnięte od pocałunków. Nic dziwnego, że Diana wszystko wyczytała z mojej twarzy, pomyślała z goryczą i odrazą do samej siebie.

Wszystkie słowa Diany były tak piekielnie bolesne, ponieważ wszystkie były prawdziwe. Myślałam, że jestem taka sprytna i mądra! Udawałam, że udaję, ukrywając prawdziwe uczucia. Ale jedynie okłamywałam samą siebie. Przez cały czas wszyscy dookoła się ze mnie śmieli. Jestem żalosna! - zawyła w duchu, czując, jak w jej piersi wzbiera szloch.

W jadalni na szczęście nie było nikogo. Na stole stał dzbanek świeżo zaparzonej kawy. Całą filiżankę gorącego płynu wypijała niemal duszkiem. Na dworze był piękny, ciepły dzień, a ona dygotała z zimna.

Ktoś wszedł do pomieszczenia. Po chwili poczuła na swoich biodrach silne dłonie. Twarde, znajome ciało przywarło do jej pleców.

- Dlaczego uciekłaś? - Pocałował ją w szyję. - Nie mogłam spać. - Powinnaś mnie była obudzić. Znam niezawodne lekarstwo na bezsenność - mruknął zmysłowym tonem prosto do jej ucha.

Wyswobodziła się z jego objęć.

- Kiedy możemy stąd wyjechać?

- Planowałem po lunchu, ale możemy wcześniej, jeśli masz takie życzenie.

- Tak. Mam już dość tego miejsca - poskarżyła się nieco drżącym głosem.

- Szczerze mówiąc, ja też. - Uśmiechnął się do niej ciepło. - Idź się spakuj, a ja pójdę się pożegnać z Grahamem.

Po kwadransie była już gotowa do odjazdu. Stała w oknie, wpatrując się w ogród. Do jej pokoju zajrzał Jake.

- Daj mi pięć minut, kochanie. Spakuję się i ruszamy w drogę. Dobrze?

Skrzywiła się, słysząc, jak się do niej zwrócił. Łzy w jej oczach zamieniły ogród w rozmazane barwne plamy.

- Dobrze - odparła cicho, głosem jak echo, wiedząc, że nic, absolutnie nic nie jest dobrze.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Z każdą sekundą oddali się od Queens Barton, od domu Diany Halsay, lecz Marin nie czuła spodziewanej ulgi. Co chwila zerkła na zaciśnięte na kierownicy ręce Jake'a, które z taką wprawą i łatwością kierowały autem. Tak samo jak mną ubiegłej nocy, pomyślała z bólem. Z taką samą precyzją jego dłonie dotykały jej ciała, podniecając je, wywołując w nim dokładnie takie reakcje, jakich chciał. Pragnęła tego, o tak, piekielnie tego pragnęła! Pokazał jej raj na ziemi. Lecz te magiczne chwile zostały zbrukane, odarte z pięknej iluzji. Prawda była brutalna i brzydka. Zrobił to z litości i z obowiązku. W chwilach, kiedy ona przestawała cokolwiek udawać, on nadal odgrywał swoją rolę.

- Podrzucę cię do apartamentu, żebyś spakowała resztę swoich rzeczy, i za godzinę lub dwie wpadnę po ciebie, dobrze?

- Co masz na myśli? - zdziwiła się.

- Mieszkam w innej dzielnicy, kochanie. W Chelsea. Chyba nie chcesz powiedzieć, że wolisz przyjechać do mnie autobusem?

- Po co miałabym do ciebie przyjeżdżać?

Jake zwolnił, zjechał na pobocze i zatrzymał wóz, Odpiął swój pas i spojrzał jej głęboko w oczy.

- Pomyślałem sobie... To znaczy, miałem nadzieję, że wprowadzisz się do mnie. - Uśmiechnął się niepewnie. - Nie możemy zamieszkać w moim firmowym apartamencie we trójkę: ja, ty i Lynne. Wyobraź sobie tę kolejkę do łazienki każdego ranka - zaśmiał się łagodnie.

„Przez miesiąc będziesz jego zabaweczką. Na więcej nie licz”.

Znowu skręcała się w środku z bólu na wspomnienie tych słów Diany. Słów tak potwornie bolesnych, ponieważ prawdziwych. Nie, nie będę jego zabaweczką nawet przez jeden dzień, zdecydowała w duchu.

- Miałabym z tobą zamieszkać, ponieważ spędziliśmy jedną wspólną noc? - Pokręciła głową. - To już przeszłość. Mam własne życie, do którego zaraz wrócę. Nie mam zamiaru z nikim się wiązać. Nawet na krótką chwilę. To koniec.

Rysy jego twarzy stężały.

- O czym ty, do diabła, mówisz?

- Zawarliśmy układ, który dzisiaj wygasa, a na jego miejsce nic innego się nie pojawia - wyjaśniła.

Jake spojrział na nią z niedowierzaniem.

- Kochanie, chyba nie mówisz poważnie...

Wyciągnął rękę, by jej dotknąć, lecz Marin odsunęła się gwałtownie.

- Nie dotykaj mnie! - zawołała. - Czy nic do ciebie nie dociera? Wynająłeś mnie, żebym przez dwa dni odgrywała rolę twojej kochanki. Wypełniłam swoje zadanie. Teraz, panie Radley-Smith, musimy się już tylko rozliczyć. - Po chwili dodała: - A może uważasz, że ubiegłej nocy zapłaciłeś mi w naturze?

- Nie - warknął posepnie. - Nic z tych rzeczy. Skąd ta nagła formalna maniera? Ubiegłej nocy moje imię ulatywało z twoich ust, kiedy...

- Wtedy było wtedy - przerwała mu szybko - a teraz jest teraz. I proszę, nie wspominaj już o ubiegłej nocy. Ani słowem.

- Dlaczego? Mam udawać, że nigdy się nie zdarzyła?

- Powiedzmy, że to był błąd - rzuciła chłodno. - A jeszcze większym błędem byłaby dalsza znajomość z tobą, panie Radley-Smith.

- Ale...

- Wiem, to ty zawsze pierwszy kończysz swoje romanse. Cóż, tym razem będzie inaczej. Nie martw się, przeżyjesz. To nie koniec świata.

Na twarzy Jake'a malowało się skrajne zdumienie.

- Czy oprócz mnie jest w twoim życiu jakiś inny mężczyzna? - zapytał ostrym tonem.

- To nie twój interes - odparowała natychmiast. - Gwoli ścisłości, ciebie nie ma w moim życiu. Jedynie przez nie przemknąłeś... - Westchnęła ciężko. - Zmęczyła mnie ta rozmowa. Czy możemy jechać dalej? Chyba że chcesz, żebym złapała autostop.

- To nie będzie konieczne. - Jego głos był równie ponury, jak jego twarz. - Na koniec odpowiedz na jedno pytanie, Marin. Co się stało z tą słodką dziewczyną, która ubiegłej nocy spała wtulona we mnie?

Wzruszyła ramionami.



- Obudziła się - odparła.

Dopiero po długiej, bardzo długiej chwili Jake odwrócił się, zapiął pas i odpalił silnik. Ruszyli dalej w całkowitym milczeniu.

Zrobiłam to, co musiałam, tłumaczyła sobie Marin. Podczas tej rozmowy nie poznawała siebie, nienawidziła siebie, lecz musiała to zrobić, aby oszczędzić sobie jeszcze większego cierpienia i upokorzenia. Aby uratować resztki swojej godności.

Dojechali do Londynu. Jake wyjął z bagażnika jej torbę. Marin natychmiast mu ją wyrwała.

- Sama sobie poradzę.

- Nie mogę wejść z tobą do środka?

- Nie. Dziękuję.

Nachylił się nad nią, przytrzymując ją za ramiona.

- Marin... nie rób tego, proszę cię! Wiem, że to frazes rodem z telenowel, ale my naprawdę musimy porozmawiać.

- Nie mam już nic do dodania. Udało się przekonać twojego ważnego klienta, że nie myślisz o romansie z jego żoną. Zadanie wykonane. Żegnaj.

- Pozostała jeszcze kwestia wynagrodzenia - powiedział, dostosowując się nagle do jej beznamiętnego tonu.

- Ach, tak. Prześlij mi czek pocztą.

- Miejmy to już z głowy. - Wyjął książeczkę czekową, położył ją na dachu samochodu, wypisał czek i wręczył go Marin.

Rzuciła okiem na karteczkę, a potem na Jake'a.

- Pomyliłeś się. Wypisałeś czek na trzy tysiące funtów. Umawialiśmy się na dwa.

- Powiedzmy, że to premia. - Na jego usta wypłynął smutny uśmiech. - Dodatkowe wynagrodzenie za usługi, które wykroczyły poza ramy naszej umowy. Będziemy w kontakcie.

Wsiadł do auta i odjechał.

W domu Marin znalazła liścik od Lynne. „Jestem u Mike'a. Mam nadzieję, że wszystko dobrze poszło. Do zobaczenia wieczorem!”.

Nie, nie poszło dobrze, pomyślała. I nie, nie zobaczymy się wieczorem.

Już w samochodzie podjęła decyzję o wcześniejszym wyjeździe do Essex. Błyskawicznie spakowała walizkę, następnie napisała na kartce utrzymaną w pogodnym tonie wiadomość dla siostry. Nie załączyła adresu kliniki weterynaryjnej. Nie chciała, by Lynne podała go Jake'owi. Poza tym chciała mieć ten weekend wyłącznie dla siebie. Pragnęła odetchnąć, odżyć. A przede wszystkim liczyła na to, że będzie zbyt zajęta, by myśleć i wspominać. Wkrótce wszystko, co przeżyła w ten weekend, stanie się odległe i nierealne, jak zły sen.

- O, Boże, jakaś ty blada! Bliski kontakt z naturą chyba nie wyszedł ci na zdrowie.

Tak brzmiały powitalne słowa Lynne, wypowiedziane z matczyną troską, gdy przestała już z całych sił ścisnąć siostrę, której nie widziała od miesiąca. Wbrew temu, czego można by oczekiwać, Marin wróciła z malowniczego Essex w fatalnej formie.

- Wczoraj wieczorem koledzy i koleżanki z kliniki wyciągnęli mnie do hinduskiej restauracji na pożegnalną kolację. Pewnie coś mi zaszkodziło. - Marin wzruszyła ramionami, bagatelizując całą sprawę. - Ale zaraz poczuję się jak nowo narodzona.

Okazało się, że to pobożne życzenia. Na widok chińszczyzny na wynos, którą przyniósł Mike, Marin znowu targnęły silne mdłości i czym prędzej pognęła do łazienki.

- Jeżeli do rana nie wyzdrowiejesz - zastrzegła Lynne srogim tonem, podając chorej szklanekę przegotowanej wody - pójdziemy do lekarza. Może potrzebujesz antybiotyków.

- Wolę przeszczep żołądka - jęknęła Marin. - Mam nadzieję, że zaraz mi minie.

Nie minęło. Rano nadal czuła się słabo.

- Zadzwoiłam do Wendy Ingram i powiedziałam, że jesteś chora. Na drugą masz umówioną wizytę u doktora Jarvisa. Napijesz się kawy?

- Nie wypowiadaj nazw żadnych napojów ani potraw prócz wody - poprosiła Marin, leżąc w łóżku.

Lynne wyszła do pracy. Marin kolejny raz się zdrzemnęła w nadziei, że sen odegna wreszcie nudności. Zbudził ją odgłos otwieranych drzwi.

- Litości, Lynne! Nie musisz mnie niańczyć, jakbym była małym dzieckiem - zawołała z wyrzutem.

- Witaj, Marin - rozbrzmiał niski, męski głos.

Marin aż jęknęła głośno, widząc w progu pokoju Jake'a. Wszedł do środka. Miał na sobie grafitowy garnitur, białą koszulę i poluzowany, jedwabny krawat. Z jego przystojnej twarzy nic nie dało się wyczytać.

- Czego chcesz?

- Ciebie.

Jej serce zabiło jak gong. Uniosła głowę i oświadczyła buńczucznie:

- Chyba jasno dałam ci do zrozumienia, że między nami nic nie było i nic nie będzie.

- To się jeszcze okaże. - Zanim Marin zdążyła odpowiedzieć, dorzucił szybko: - Lynne powiedziała mi, że jesteś chora. Bardzo mnie to zmartwiło.

Zdrajczyni, pomyślała, zła na siostrę.

- Czuję się już dużo lepiej - skłamała - więc niepotrzebnie się fatygowałeś.

- Czyżby? - Jake zbliżył się do niej i zmierzył ją uważnym spojrzeniem. - Cofnij się pamięcią o miesiąc, do naszej wspólnej nocy, i tam poszukaj źródła swojej kiepskiej kondycji.

- Co masz na myśli?

- To proste, kochanie. Jeśli wówczas nie brałaś pigułek, można śmiało powiedzieć, że uprawialiśmy seks bez antykoncepcji. I to więcej niż raz. Z reguły sam się zabezpieczam, ale nasza umowa nie wspominała nic o seksie, więc byłem kompletnie nieprzygotowany. Tak samo jak ty, chociaż wtedy nie byłem tego świadom. Nie jesteś dzieckiem, jak przed chwilą sama powiedziałaś, więc nie muszę ci tłumaczyć, że takie zachowanie ma czasem, niestety, pewne konsekwencje.

Myśli wirowały w głowie Marin, a jej serce zaczęło wybijać szybki rytm. Wpatrywała się w Jake'a przez kilka długich chwil, po czym odezwała się półgłosem:

- Nie, to niemożliwe...

- Przekonajmy się. - Z kieszeni marynarki wyłowił małe pudełeczko i rzucił je na kołdrę. - Pójdź do łazienki i użyj tego.

Marin w panice zerknęła na test ciążowy.

- Nie! Nie mogę! Nie zrobię tego.

- Dlaczego? - spytał z uniesioną brwią.

- Ponieważ... nie masz prawa wydawać mi rozkazów - wypaliła wreszcie.

- Pragnę się jedynie dowiedzieć, czy nosisz moje dziecko. Proszę więc, zrób to, co zasugerowałem. Dla dobra nas obojga. Dla naszego spokoju.

Ich spojrzenia się spotkały, zderzyły. Postanowiła zrobić test, tylko po to, by czym prędzej wyrzucić Jake'a z mieszkania. Niechętnie zwlokła się z łóżka i zniknęła za drzwiami łazienki.

Gdy pięć minut później wróciła, Jake już po sekundzie wiedział, jaki jest wynik testu. Marin była blada, niemal sina jak topielica. Jej rozchylone usta drżały.

Westchnął głośno.

- Tak myślałem - mruknął. - Teraz naprawdę musimy porozmawiać.

Podszedł do niej. Zrobiła krok w tył. Chwyił ją za rękę i zaprowadził do sofy.

- Puszczaj! Zostaw mnie w spokoju.

- Nie bądź niemądra. - Jego głos był łagodny, cierpliwy. Usadził ją obok siebie. - W pierwszej kolejności musimy powiedzieć twojej matce i ojczymowi. Dowiedz się, kiedy najszybciej mogą tu przybyć.

Odebrało jej mowę. Sama myśl o tym, co przed chwilą zasugerował, przepełniła ją grozą. Nie mogła się przyznać rodzicom, że przez własną głupotę zamieniła swoje życie w kompletną katastrofę!

- W-wolałabym n-nie - wyjąkała.

- Wiem. Ale to niezbędne. Prędzej czy później wszyscy się dowiedzą. - Po chwili dodał: - Musimy ustalić termin. Rzecz jasna, jak najbliższy. Zajmę się wszystkimi formalnościami.

Jego słowa odbijały się echem w jej głowie, nie układając się w nic sensownego.

- O czym ty mówisz?

- O naszym ślubie - odparł, jakby to było coś oczywistego. - Będziemy mieć dziecko, Marin, więc musimy wziąć ślub. To proste.

- Zawsze powtarzałeś, że nie dasz się zaobrączkować - przypomniała mu od razu.

- Zgadza się. Nie miałem tego w planach. Ale spójrz, kochanie, jak czasem życie nas zaskakuje - zakończył z refleksyjnym uśmiechem.

- Na miłość boską, Jake! W dzisiejszych czasach ludzie nie pobierają się tylko dlatego, że zaliczyli wpadkę.

Skrzywił się, słysząc to ordynarne określenie.

- W takim razie jestem osobliwie staromodny - syknął lodowatym tonem - ponieważ nie pozwolę, aby mój pierworodny był bękartem.

Mój pierworodny...

O, Boże! - zawyła w duchu. Miała ochotę się rozplakać. Odwróciła wzrok. Przez długą chwilę biła się z myślami. Brała pod uwagę rozmaite scenariusze, nawet te najbardziej drastyczne. Kiedy się odezwała, jej głos brzmiał obco i cicho, jak echo:

- Zapomniałeś o pewnej alternatywie. Dziecko wcale nie musi się urodzić.

- Nawet się nie waż tego zrobić, Marin! - zagrzemiał. - Jeśli trzeba będzie, przykuję się do ciebie kajdankami, by cię powstrzymać przed taką zbrodnią. Moje dziecko przyjdzie na świat - oświadczył władcym tonem.

Marin złapała się za głowę. Czowała, jak się w sobie zapada.

- Popełniłam straszliwy błąd - wydukała ledwie słyszalnie. - Nie chcę niszczyć sobie reszty życia...

Jake milczał przez długą chwilę.

- Wiem. To moja wina. Jest mi z tego powodu przykro, bardziej niż jesteś w stanie to sobie wyobrazić. Tamtej nocy powinienem był pomyśleć za nas oboje. - Westchnął ciężko. - Teraz zobowiązuję się zapewnić ci spokojne życie w komforcie i luksusie. Zrobić wszystko, co w mojej mocy, byś jak najmniej cierpiała.

- To ma być dla mnie zachęta?

- Rozumiem, że nie jesteś do mnie przekonana - odparł z urazą. - Mam ci zareklamować moją skromną osobę? Jestem zdrowy. Nie palę, nie zażywam narkotyków, nigdy nie podniosłem ręki na kobietę. Alkohol pijam, lecz nie nadużywam.

Prychnęła pogardliwie.

- Wszystkie te twoje wspaniałe cechy mają być fundamentem naszego małżeństwa? - spytała sarkastycznym tonem.

Wzruszył szerokimi ramionami.

- Może z czasem znajdziesz u mnie więcej pozytywów.

- Nie sędę. Zależy mi na zupełnie innych rzeczach.

Uniósł ironicznie brew i zapytał:

- Mam nadzieję, że nie wymagasz ode mnie tego, bym uklęknął przed tobą i obiecał ci wieczną miłość i inne tego typu rzeczy?

Tak, to byłoby całkiem miłe, pomyślała.

- Nie - odparła lodowato. - Nie potrzebuję twoich kłamstw.

- Posłuchaj, Marin. Moje dziecko musi mieć poczucie bezpieczeństwa, ciepły dom i dwójkę kochających je rodziców. Tylko to się liczy. Dobro dziecka jest absolutnym priorytetem. Nasze własne uczucia muszą zejść na drugi plan - podkreślił. - Chyba to rozumiesz, prawda?

Skinęła powoli głową.

- Chcę, żebyś dzisiaj spotkała się z moją matką - oświadczył nagle. Zanim Marin zdążyła zaprotestować, Jake dodał: - Pojedziemy tam po południu. Kiedy trzy lata temu zmarł mój ojciec, mama co prawda wyprowadziła się z dworku i zamieszkała w domu na obrzeżach miasteczka, jednak w wolnych chwilach opiekuje się posiadłością i zawsze tam na mnie czeka, kiedy przyjeżdżam z wizytą. Często się widzimy.

Dworek? Posiadłość? Marin była zdziwiona. Nie wiedziała, że Jake ma matkę. Nie przyszło jej to nawet do głowy. Z jakiegoś powodu nie pasowało to do jego wizerunku. Tacy jak on, pomyślała Marin, sprawiają wrażenie, jakby nigdy nie byli dziećmi, nigdy nie mieli chwili słabości, nigdy nie kochali...

- Mam przed nią udawać, że jesteśmy szczęśliwą parą? Odgrywać tę przekłętą farcę? - zapytała gniewnie.

- Nie. Jej nie sposób nabrać. Sam powiem jej prawdę, całą prawdę. Możesz jednak troszkę poudawać przed Sadie, naszą gosposią, moją dawną nianią. Czuję przed nią respekt, szczególnie że nie przebiera w słowach, gdy raz na jakiś czas nawiedza ją potrzeba zbesztania mnie - zaśmiał się pod nosem.

Marin zamilkła. Była zdezorientowana. Jake Radley-Smith był dla niej kompletnie obcym człowiekiem. Jej wiedza na jego temat jest, jak się okazuje, niemal zerowa. Myśl, że mają wziąć ślub i mieć razem dziecko, była czystym surrealizmem.

Zatopił w niej poważne spojrzenie i zapytał:



- Czy mam rozumieć, że przyjmujesz moje - zawahał się na chwilę - oświadczyły?  
Dla dobra dziecka?

- Tak - odparła ledwie słyszalnym głosem. - Robię to tylko dla dobra dziecka.  
Niech to będzie dla ciebie jasne...

- Jak słońce - dokończył. - Przyjadę po ciebie o drugiej. Najpierw wstąpimy do lekarza, a potem odwiedzimy moją matkę. - Zmrużył groźnie oczy. - Marin, bądź grzeczna, nie rób nic głupiego i nie ruszaj się stąd.

- Bez obaw - bąknęła. - Przecież wiesz, że nie mam innego wyjścia...

- Nie zapominaj, że ja też nie - wtrącił. - Jesteśmy dokładnie w tej samej sytuacji.  
We dwoje będzie nam różniej.

Kiedy wyszedł, Marin wcisnęła się w kąt sofy, wsunęła głowę pod piramidę poduszek i przez bardzo długi czas leżała tak w bezruchu, targana jedynie cichym płaczem.

TLR

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Jake tak mocno zacisnął dłonie na kierownicy, że aż zbieleły mu kostki.

- Dlaczego, do diabła, odwołałaś wizytę u lekarza?

- Uznałam, że to zbędna fatyga - odburknęła. - Przecież już wiadomo, że to, niestety, nie zatrucie pokarmowe.

Nie chciała się przyznać, że zrobiła sobie w domu drugi test ciążowy, który potwierdził wcześniejszy wynik. To ją zupełnie załamało i odebrało resztki nadziei, w duchu liczyła bowiem na to, że za pierwszym razem wynik był błędny. Z niemal nadludzkim wysiłkiem doprowadziła się do porządku: wzięła prysznic, umyła włosy, ubrała w bladoniebieską dżinsową spódniczkę i biały top. Użyła różu i korektora, by nieco zatuszować swoją upiorną bladość.

- Zresztą, to bez znaczenia - odezwał się Jake już łagodniejszym tonem. - Od tej pory będziesz pod nadzorem mojego znajomego lekarza. To świetny fachowiec. Jutro się z nim skontaktuję. A ty już dzisiaj się do mnie wprowadzisz.

- Nie, błagam! - zaprotestowała rozpaczliwie. - U Lynne jest mi dobrze. Opiekuje się mną...

- Ja się będę tobą jeszcze lepiej opiekował. Poza tym Lynne wkrótce się stamtąd wyprowadzi. Twoja siostra i jej narzeczonzy kupili własne mieszkanie.

- Pierwsze słyszę!

W ciągu jednego głupiego miesiąca mój cały świat się zmienił, przewrócił do góry nogami, pomyślała zdumiona i zasmucona.

- Zapewne zwlekali z przekazaniem ci tej informacji, czekając, aż poczujesz się lepiej. Wracając do tematu, niebawem będziemy małżeństwem, więc mieszkanie pod wspólnym dachem jest rzeczą zupełnie naturalną.

- Żądam własnego pokoju. Zarówno przed, jak i po ślubie - zastrzegła Marin bojowym tonem.

Zaległa pełna napięcia cisza. Marin czuła, jak Jake promieniuje tłumionym gniewem. Kiedy się jednak odezwał, jego głos był spokojny, nawet nieco rozbawiony:

- Wiedziałem, że to powiesz. Oczywiście, że dostaniesz własny pokój.

Długi czas jechali w całkowitej ciszy. Marin zatopiła się w siedzeniu, patrząc na przesuwany się za oknem wiejski krajobraz i próbując o niczym nie myśleć. Czuła się wycieńczona i pusta. W pewnym momencie przerwała milczenie:

- Rozmawiałaś ze swoją matką?

- Tak. Odbiliśmy bardzo - zawahał się na chwilę - szczerą rozmowę.

- Wpadła w szal?

- Nie. Jest raczej... rozczarowana. Zdaje się jednak, że zaakceptowała sytuację. Mam nadzieję, że w międzyczasie nie zmieniła zdania - dodał na koniec, akurat w momencie, gdy na horyzoncie zamajaczył dworek Harborne Manor.

Marin spodziewała się ujrzeć typową wiejską willę w stylu rezydencji Halsayów, a nie coś takiego - imponującą, ewidentnie wiekową konstrukcję z szarego kamienia, ozdobioną wysokimi, smukłymi kominami, z szerokim głównym wejściem oraz różnymi wielodzelnymi oknami.

- Och! Ten dom jest przepiękny! - zachwyciła się. - Czy jest otwarty dla zwiedzających?

- Nie. To zawsze była i będzie prywatna posiadłość. Raz w roku organizujemy zbiórkę dla Czerwonego Krzyża. Wtedy można przyjść i się troszkę rozejrzeć.

Zatrzymał wóz na podjeździe wysypanym żwirem. Z głównego wejścia wyłoniła się pulchna kobieta o rumianych policzkach i srebrnych włosach związanych w kucyk.

- Oto ona, Sadie - rzucił Jake do kobiety. - Jak widzisz, nie uciekła ode mnie na drugi koniec świata, choć miała ku temu doskonałą okazję.

Kobieta obrzuciła Marin zatroskanym spojrzeniem.

- A cóż w tym dziwnego, panie Jamesie? Nie uciekła, bo siły nie miała. Chudzin-ka! - Spojrzała z dezaprobatą na Jake'a. - Niech mi pan teraz porządnie przedstawi tę młodą damę. I vice versa, rzecz jasna.

Jake posłusznie spełnił żądanie gosposi, po czym objął Marin w talii i pocałował ją w czoło.

- Od teraz mój dom to twój dom, kochanie - oznajmił miękko głosem. - Zapraszam serdecznie do środka.

Kiedy tylko Marin poczuła na swoim ciele dłoń Jake'a, a potem, przez chwilę, jego usta, w jej umyśle rozbłysły obrazy tamtej nocy, kiedy całował jej szyję, budząc w niej pożądanie, którego nie potrafiła okiełznać. I znowu przeszył ją ból ostry jak sztylet, kiedy przypomniawszy sobie, że on jedynie udawał.

Tak jak teraz.

Pozwoliła mu wziąć się za rękę i zaprowadzić po schodach do drzwi. Gdy weszła do środka, oniemiała z wrażenia. Omiotła wzrokiem ogromny hol, podłogę wyłożoną drewnianym parkietem, szerokie, bogato zdobione schody ze starego, pociemniałego dębu.

- Jak stary jest ten dom? - zapytała odruchowo szeptem, ponieważ poczuła się jak w kościele lub muzeum.

- Pochodzi z epoki Tudorów - odparł Jake. - Od tamtej pory był jednak wielokrotnie modyfikowany i rozbudowywany. Na szczęście mój dziadek i ojciec przy nim nie majstrowali, no, z wyjątkiem przeprowadzenia kanalizacji. W dzieciństwie, kiedy chciałem się wykapać, musiałem chodzić po wodę do studni.

- Głupstwa pan plecie, panie Jamesie! - zganiła go Sadie. - Sama własnoręcznie pana kąpałam w wodzie z kranu. I czasem żałuję, że nie wylałam pana z kąpielą... Proszę zaprowadzić pannę Wade na taras. Pani Elizabeth już czeka.

- Witaj, Marin.

Elizabeth Radley-Smith była wysoką kobietą z ciemnymi włosami i ładną, szczupłą twarzą. Marin pomyślała, że w młodości musiała być zjawiskową pięknością. Jej oczy były intensywnie niebieskie, tak jak oczy Jake'a, lecz nie tańczyły w nich iskry. Jej twarz miała zafrasowany wyraz. Powitała Marin jedynie formalnym uściskiem chłodnej dłoni.

Być może zaakceptowała sytuację, jak się wyraził Jake, lecz to wcale nie znaczy, że darzy mnie sympatią, pomyślała Marin, siadając w wiklinowym fotelu. Dookoła na całym tarasie porozstawiane były donice z kwiatami, dzięki czemu miało się wrażenie, że siedzi się w ogrodzie. U jej boku miejsce zajął Jake.

- Wybaczcie, ale muszę porozmawiać z kucharzem na temat herbaty - powiedziała pani Radley-Smith. - W międzyczasie, Jake, porozmawiaj z Marin o tym, o czym dyskutowaliśmy wcześniej przez telefon.

Kiedy matka Jake'a wstała i opuściła taras, Marin niepewnym głosem zapytała:

- Co miała na myśli? - Postanowiła zgadnąć: - Chce, żebym urodziła dziecko, oddała je do adopcji, a potem przeprowadziła się na Księżyc?

Jake zaśmiał się pod nosem.

- Przeciwnie. Zanim po ciebie przyjechałem, oddzwoniła do mnie, pytając, czy jesteśmy gotowi wziąć ślub cywilny w Londynie, a następnie kameralny ślub kościelny w tutejszej zabytkowej kapliczce.

- Chcesz wziąć ślub kościelny? - zdumiała się Marin.

- Dlaczego nie? Tutaj zostałem ochrzczony i bierzmowany. Czasem chodzę z mamą w niedzielę na mszę świętą. Okazjonalnie też podczas mszy czytam wiernym ustępy z Pisma Świętego. - Po chwili zawołał: - Och, przestań patrzeć na mnie tak, jakby mi wyrosła druga głowa!

- Przepraszam. - Marin rzeczywiście była w szoku. - Trudno mi to wszystko pogodzić z twoim wizerunkiem i stylem życia.

- Może nie jestem aż tak dwuwymiarowy, jak ci się wydaje. - Spojrzał na nią z przekornym uśmiechem: - A może po prostu jestem maminsynkiem, który całe życie chce się przypodobać mamie? O wilku mowa - szepnął.

Pani Radley-Smith wróciła z tacą, którą Jake natychmiast zabrał z jej rąk i postawił na stoliku.

- Poprosiłam kucharza - zwróciła się do przyszłej synowej - aby zaparzył ci miętę, Marin. Mogę się zwracać do ciebie po imieniu?

Marin przytaknęła z uprzejmym uśmiechem.

- Ponoć cierpisz na poranne mdłości. Kiedy ja byłam w ciąży, mięta przynosiła mi wręcz zbawienną ulgę.

- Dziękuję. To bardzo miłe z pani strony. - Marin wzięła z tacy filiżankę naparu.

- Czy podjęliście już ostateczną decyzję w kwestii ślubu? - zapytała pani Radley-Smith.

- Przed chwilą usiłowałem przekonać Marin. Nie wiem, z jakim efektem - wyznał Jake.

- Żywię gorącą nadzieję, że się zgodzisz. To przepiękny, stary kościół. Ślub tam brało wiele pokoleń naszego rodu. Podejrzewam, że nasz wielbny pastor i lokalna wspólnota byliby rozczarowani, gdyby mój syn wybrał jakieś inne miejsce, by zawrzeć związek małżeński.

Marin utkwiała wzrok w swojej filizance. Oczami wyobraźni ujrzała ceremonię ślubną. Powtarzanie słów sakramentu świętego - kłamanie w obliczu Boga. Udawanie, że wierzy Jake'owi, gdy ten recytuje słowa przysięgi ślubnej. Udawanie, że ich małżeństwo jest naturalną konsekwencją prawdziwego uczucia, a nie parszywym oszustwem.

„Ślubuję ci miłość, wierność i uczciwość...”.

Nie, nie mogę tego zrobić! Nie mogę być aż taką hipokrytką, pomyślała. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że wypowiedziała tę myśl na głos. Matka Jake'a wciągnęła głośno powietrze, zaszokowana tym wyznaniem, natomiast Jake zacisnął usta, jego twarz stała się ponurą maską.

- Żadnego ślubu kościelnego - warknął. - Jedynie ślub cywilny w Londynie. To nieodwołalna decyzja.

Następny kwadrans upłynął w ciężkiej, dławiącej atmosferze. Marin siedziała w milczeniu, popijając miętę i wpatrując się nieobecny wzrokiem w kwiaty. Żałowała, że nie może się zamienić w jeden z nich. Nie czuć, nie myśleć, tylko... być? Pani Radley-Smith i jej syn toczyli niemrawą rozmowę na neutralne tematy. W pewnym momencie Jake wstał, obwieścił, że musi wykonać ważny telefon, i wyszedł, zostawiając za sobą w powietrzu smugę smutku.

- Musi mnie pani teraz nienawidzić - mruknęła Marin, przerywając pęczniejącą w uszach ciszę.

- Ja nienawidzę jedynie osób, które czynią krzywdę dzieciom i zwierzętom. A pani do tej kategorii się nie zalicza. Jestem o tym przekonana.

- Ale nie chce pani, by Jake wziął ze mną ślub w taki sposób.

- Nie ukrywam, że nie tak to sobie wyobrażałam - przyznała kobieta.



- Wobec tego czy nie mogłaby mu pani wyperswadować tego nieszczęsnego pomysłu? - poprosiła Marin niemal błagalnym tonem.

- Przykro mi, nie mogłabym. Tak samo jak nie byłabym w stanie zatrzymać stada pędzących słoni. On chce, aby jego dziecko urodziło się w związku małżeńskim. To naturalne pragnienie. - Matka Jake'a zatopiła w Marin poważne spojrzenie. - Kocham swojego syna, Marin. I najbardziej w tym wszystkim smuci mnie fakt, że ty wyraźnie wolisz los samotnej matki niż jego żony.

Marin milczała. Uznała, że nietaktownie byłoby przytaknąć.

- Niewątpliwie nie uszło twojej uwagi - kontynuowała kobieta - że Harborne Manor to stara, piękna posiadłość, jak również dom, w którym można znaleźć szczęście. Mnie się to kiedyś udało - rzekła, uśmiechając się do swoich wspomnień. - Być może, poznawszy dokładniej to miejsce, będziesz bardziej skłonna zmienić swoje stanowisko.

Marin zadarła dumnie głowę.

- Uważa pani, że to mi robi różnicę? Że jestem osobą, która postrzega dziecko jako bilet wstępu do świata bogactwa i luksusu? Proszę mi wierzyć, że nie jestem taka - zakończyła, tłumiąc gniew.

- Miło mi to słyszeć - odrzekła matka Jake'a. Po chwili odstawiła swoją filiżankę lekko drżącą dłonią. Westchnęła ciężko. - Zrozum, proszę, że Jake jest bardzo drogi memu sercu. Całe życie żyłam nadzieją, że...

- Ożeni się z miłości? - dokończyła za nią Marin.

- Miłość nie zawsze wybucha od razu. Czasem trzeba na nią poczekać. Lub o nią zawalczyć. - Kobieta przywołała na usta uprzejmy uśmiech. - Wkrótce zostaniesz żoną i matką, a mój syn mężem i ojcem. Być może jestem stara i szalona, ale wierzę, że wam się uda. - Pani Radley-Smith wstała z fotela. Marin poszła w jej ślady. - A teraz pozwól, że oddam cię w ręce Sadie, która pokaże ci posiadłość.

Na szczęście gospośnia nie zadawała Marin żadnych pytań, jedynie oprowadzała ją po rezydencji z dumą, która była niemal namacalna. Nic dziwnego, pomyślała Marin, zwiedzając to niezwykle miejsce. Wszędzie czuło się oddech, zapach historii, od którego niemal kręciło się w głowie, lecz jednocześnie dom nie był skansenem. Pokoje urządzone, kładąc nacisk na wygodę, a nie demonstracyjny przepych. Nieco mroczne wnętrza

ożywiały kwiaty porozstawiane niemal w każdym kącie, na każdej półce czy stoliku, głównie aromatyczne róże oraz *pot pourri*. Wiekowe, drewniane podłogi pokryte były perskimi dywanami. Gmach domu otaczały bujne, barwne ogrody.

- Sami hodujemy prawie wszystkie warzywa - pochwaliła się Sadie. - Pan Murtrie ma istnego bzika na punkcie organicznej żywności.

Pan Murtrie, jak dowiedziała się Marin, był głównym ogrodnikiem w Harborne Manor; miał do dyspozycji dwóch pomocników. Kuchnia była królestwem pani Osborne, której córka, Cherry, była główną pokojówką. Mąż Cherry, Bob Fielding, był głównym stajennym, natomiast...

Marin zgubiła wątek, nie nadążała z zapamiętywaniem nazwisk i stanowisk. Powinno być wziąć ze sobą notes, pomyślała, i wszystkich sobie zapisywać oraz naszkicować mapkę dworku.

- Dlaczego zwraca się pani do Jake'a per James? - zapytała Marin.

- Jego dziadek nalegał, by ochrzcić go Jacob, ponieważ to imię ma długą tradycję w tej rodzinie. Pani Elizabeth jednak się zbuntowała i wraz z mężem, panem Philipem, dała mu na imię James. Dziadek, niespotykanie uparty człowiek, zaczął mówić do chłopca Jake. I tak już do niego to przyłgnęło - wyjaśniła Sadie. - Ja osobiście wierzę w te imiona, które ludzie otrzymują przy chrzcie, dlatego zwracam się do niego „panie Jamesie”.

Nawet mi nie powiedział, jak naprawdę ma na imię, pomyślała Marin ze smutkiem. Wezmę ślub z prawie obcym mężczyzną.

W drodze powrotnej do Londynu Jake zapytał:

- Jak ci się podobał dom?

Chciała odpowiedzieć: jest ogromny i piękny. Ale przytłaczający. Tak samo jak presja, pod którą się nagle znalazła. Nie tylko ze strony Jake'a, ale i jego matki, a nawet gosposi. Miała wrażenie, że jej życie przestaje należeć do niej.

- W środku robi jeszcze większe wrażenie niż z zewnątrz.

- Po ślubie w nim zamieszkaasz. Będę cię odwiedzał w weekendy.

Marin rzuciła mu zdumione spojrzenie.

- Chcesz mnie tam zostawić... samą? - zapytała drżącym głosem.

- Absolutnie nie. Znajdziesz się pod troskliwą opieką mamy oraz Sadie.

Poczuła, jak w jej piersi wzbiera fala oburzenia.

- Nie jestem inwalidką! - zawołała z żarem. - Mam pracę, którą lubię, i zamierzam do niej wrócić. Nie zamierzam natomiast gnić w tym ogromnym domu i zamienić się w warzywo.

Skręcił na pobocze i zatrzymał wóz z piskiem opon.

- Posłuchaj, kochanie - wycedził przez zęby. - Twoje życie się nieodwracalnie zmieniło. Musisz się do niego przystosować, a nie przeciw niemu buntować. Nie pozwolę, aby moja ciężarna żona tułała się Bóg wie gdzie, narażając siebie i moje dziecko. Poza tym nie omieszkałaś wiele razy wspomnieć, że im rzadziej będziemy się widywać, tym lepiej, prawda?

- Tak - wydukała po długim milczeniu. - Zgodnie z tą logiką, nie każ mi się przeprowadzać do twojego apartamentu. Zostanę z Lynne. Tak będzie lepiej dla nas obojga!

- Wykluczone. Skąd mógłbym mieć pewność, że nie zrobisz czegoś głupiego? Twoja siostra przez większość dnia jest nieobecna. U mnie będziesz pod stałą opieką. Koniec dyskusji.

Nie, moje życie nie przestaje do mnie należeć, pomyślała, zatapiając się w fotelu auta i wpatrując się w ciemniejące niebo.

Już przestało.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Rozszarpie go gołymi rękami! - ryknęła Lynne z furia. - Co za łajdak! Przyrzekł mi, że będzie się tobą opiekował i będziesz z nim bezpieczna.

- To nie jego wina - wtrąciła Marin.

- Nie? A czyja?

- Moja.

- Nonsens! Przecież nie rzuciłaś się na niego i nie zaciągnęłaś go do łóżka.

- Zrobiłam dokładnie to, co powiedziałaś - wydukała Marin. - Byłam niemal rozebrana do naga i... rzuciłam się na niego.

- O, Boże drogi! - Lynne wstała. - Potrzebuję mocnej kawy. Ty też?

- Nie. Mogę teraz pić tylko herbatę miętową.

Kiedy Lynne z powrotem usiadła, zapytała:

- Nic z tego wszystkiego nie rozumiem. Myślałam, że jesteś ostatnią osobą na ziemi, która byłaby gotowa coś takiego zrobić. Dlaczego, kochanie? I dlaczego z Radem?

To było pytanie, na które Marin nie była w stanie udzielić prawdziwej lub wiarygodnej odpowiedzi.

- Chyba po prostu byłam ciekawa, jak to wygląda. Jak smakuje - odparła zmieszana. - Wybrałam kogoś, kto wyglądał na doświadczonego.

- Dziecko to bardzo wysoka cena za ciekawość. - Lynne upiła duży łyk czarnej jak smoła kawy. - Czy on przyznaje się do ojcostwa? Czy będzie was wspierał finansowo?

- Tak. Ponieważ - Marin zawiesiła na chwilę głos - bierzemy ślub. Zabrał mnie dziś po południu do Harborne, do swojego domu na wsi, żebym poznała jego matkę.

Lynne złapała się za głowę.

- Jeszcze kilka chwil temu miałam nadzieję, że mnie podpuszczasz i zaraz krzykniesz *Prima Aprilis!* Dałabym ci kuksańca, życie wróciłoby do normy. Ale tak się nie stanie, prawda?

Marin pokręciła głową.

- Na dodatek twierdzisz, że nie jesteście w sobie zakochani?

- Ani odrobinę. Robimy po prostu dobrą minę do złej gry. Jake nie chce konwencjonalnego małżeństwa, ale potrzebuje potomka. Ja nie chcę być jego żoną, ale noszę w brzuchu jego dziecko - wyjaśniła. - I dlatego bierzemy ślub.

- Przecież to gotowy przepis na piekło! Postradaliście zmysły?

- Nie. Popełniliśmy błąd, idąc do łóżka. A teraz liczy się tylko dobro dziecka.

- Rodzice już wiedzą? - zapytała Lynne.

- Zadzwoniliśmy do nich, wracając z Harborne. - Marin przygryzła drżącą dolną wargę. - Z początku nie byli zachwyceni - stwierdziła eufemistycznie - i potępili naszą lekkomyślność. Jake wyrwał mi słuchawkę i udało mu się ich trochę oczarować. Wmówił im, że połączyło nas wielkie, namiętne uczucie i przekonał, by pojawili się na ślubie.

- Spec od *public relations* - prychnęła Lynne. - Mike'owi opowiem tę samą bajeczkę. Nie chcę, by tuż przed ślubem rozkwasiał nos swojemu przyszłemu szwagrowi.

Marin uśmiechnęła się ledwie widocznie.

- Mam więc rozumieć, że pojawisz się na ceremonii?

- Oczywiście, kochanie. - Po chwili Lynne dorzuciła ponuro: - Z bólem serca, ale przyjdę.

Nazajutrz Marin przeprowadziła się do Jake'a. Jego apartament był ultranowoczesny, piękny i ogromny. Trzy sypialnie, każda z oddzielną łazienką, gigantyczny salon, balkon z widokiem na panoramę Londynu, ogród na dachu. Codziennie rano zjawiała się pani Connell, kobieta w średnim wieku o pogodnym usposobieniu. Przychodziła sprzątać, podlewać kwiaty, uzupełniać zapasy w lodówce i spiżarni oraz przyrządzać posiłki dla Marin, która jednak nie umiała się zachwycić ani cieszyć tym komfortem i luksusem. Zamieszkała pod jednym dachem z obcym człowiekiem. Kiedy się budziła, jego już nie było. Wracał wieczorem, w samą porę na późną kolację, po której szedł do swojego gabinetu znowu pograć się w pracy. Odnosił się do Marin z obojętną uprzejmością, co przejmowało ją chłodem. Zazwyczaj jednak chodził zatopiony we własnych myślach, mało mówny, skupiony na własnych sprawach i interesach. Uszanował życzenie Marin - noce spędzali w oddzielnych pokojach, oddzielnych łóżkach. Nigdy nie wracał w rozmowach do tego, co im się przydarzyło w Queens Barton. Do tej jednej wspólnej nocy, która skazała ich na wspólne, choć w rzeczywistości zupełnie oddzielne, życie.

Miała wrażenie, że jest zamknięta w wieży z kości słoniowej.

Jake umawiał Marin na regularne wizyty u doktor Gresham. Wyniki badań za każdym razem były doskonałe. Pewnego razu lekarka jednak poradziła jej:

- Proszę się mniej przejmować i denerwować. To źle wpływa na ciążę. Czy pani chce urodzić to dziecko? - zapytała zniechęcona.

- Tak - odpowiedziała natychmiast Marin. - Och, tak! To mój... skarb.

Te słowa popłynęły prosto z jej serca. Czuła bliską więź z tą małą istotą, którą nosiła w brzuchu. Ja i ty kontra cały świat - przemawiała do niej w myślach. Na uczucia ze strony Jake'a nie ma co liczyć. Dziecko będzie jej jedyną pociechą, jedynym sensem życia.

Zbliżał się dzień ślubu. Marin przeniosła się do Harborne Manor, natomiast w londyńskim apartamencie Jake'a zamieszkała tymczasowo pani Wade wraz z Derekiem. Oboje byli pod wrażeniem penthouse'u przyszłego zięcia.

- Jego mieszkanie jest oszałamiające! - zachwycała się przez telefon Barbara Wade. - Wygląda jak luksusowy apartament z rozkładówki jednego z tych ekskluzywnych magazynów o wystroju wnętrz, które czasem przeglądam u fryzjera. Tu jest tak czysto, że kiedy upadnie mi na ziemię okruch albo kapnie kropla kawy na stół, odruchowo mówię „przepraszam”.

Marin doskonale ją rozumiała. Sama miała wrażenie, że powinna przeproszać za swoją obecność nie tylko w mieszkaniu Jake'a lub w jego dworku w Harborne, ale i w ogóle w jego świecie. Co prawda to on nalegał na ten fikcyjny związek i fikcyjne małżeństwo, lecz było jasne jak słońce, że zrobił to tylko z przymusu. Podczas pierwszego spotkania z rodzicami Marin, Jake perfekcyjnie odegrał swoją rolę. Był w każdym calu dżentelmenem, zakochanym w swojej narzeczonej. Marin w środku skręcała się z bólu, kiedy na pokaz jej dotykał, obejmował ją i całował. Podczas kameralnej ceremonii ślubnej w urzędzie stanu cywilnego Marin, ubrana w śliczną suknię w kolorze kości słoniowej, miała wrażenie, że stoi obok swojego ciała, i to nie ona recytuje słowa przysięgi, patrząc na bosko przystojnego Jamesa Anthony'ego Radleya-Smitha. Gdy ujrzała parę złotych obrączek ułożonych na tacce, coś ścisnęło ją w sercu. Jake delikatnie wsunął obrączkę na jej palec. Ona uczyniła to samo, z całych sił próbując opanować drżenie rąk.



Spojrzała w jego poważną twarz, którą po chwili zmiękczył łagodny uśmiech. Nachylił się i pocałował ją w usta, lekko, lecz zmysłowo.

Była oszołomiona. Stojąc z zamkniętymi oczami, czuła, jak niespodziewana słodycz pocałunku rozlewa się po całym jej wnętrzu, wdzierając do jej krwiobiegu. Powróciły z impetem wszystkie wspomnienia ich namiętnej nocy. Serce zabiło jej tak mocno, że przez chwilę nie mogła złapać tchu. Kiedy uniosła wreszcie powieki, zagłuszył ją aplauz gości, salwy radosnego śmiechu, gratulacje i życzenia.

Co ja zrobiłam? - pomyślała Marin, z nadludzkim niemal wysiłkiem przywołując na usta uprzejmy uśmiech. Mój Boże, co ja zrobiłam?

W apartamencie Jake'a odbyło się przyjęcie w rodzinnym gronie. Derek wygłosił przemowę na cześć pary młodej, kwieciście opiewając zalety Marin oraz oficjalnie przyjmując Jake'a do rodzinnego kręgu. Następnie Jake wznosił toast za swoją „wspaniałą małżonkę”. Marin z trudem przełknęła łyk szampana, który nie zabił smaku goryczy w jej ustach. Przyjęcie upłynęło, w pogodnej atmosferze, choć Marin znowu miała wrażenie, że jest w jakimś dziwnym transie, jej ciało nadal odgrywa rolę panny młodej, lecz jej serce i dusza są gdzieś obok, pograżone w niewysłowionym smutku.

Kiedy goście się rozeszli, a pani Connell zabrała się za sprzątanie - usuwanie wszelkich śladów tego, co miało miejsce, lecz przecież nie miało żadnego znaczenia - Marin z ulgą zamknęła się w swoim pokoju, zdjęła sukienkę, upchnęła ją w kąt szafy i położyła się do łóżka z książką.

Po jakimś czasie usłyszała pukanie do drzwi. Wszedł Jake, niosąc kwiaty w wazonie. Kremowe róże, które wręczył jej podczas ceremonii ślubnej.

- Pomyślałem sobie, że może chciałabyś mieć ten bukiet w pokoju.

- Och... tak, dziękuję. Są śliczne.

Postawił wazon na stoliku i spojrzał na Marin.

- Nie śliczniejsze niż ty. Wyglądałaś dziś przepięknie.

Nie wiedziała, co powiedzieć. Miała dość wszystkich tych pustych uprzejmości. Zmieniła temat.

- Czy mama i Derek dotarli do domu cali i zdrowi?

- Tak, samolot doleciał na czas. Już są w Portugalii.

- To bardzo miłe z twojej strony, że pozwoliłeś im tu przez kilka dni mieszkać.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł gładko. - Derek to świetny facet, a twoja mama to wspaniała kobieta. Wygląda jak twoja siostra, a nie rodzicielka.

- Ona też chyba darzy cię sympatią. - Po chwili dodała ponurym tonem: - Przez co jeszcze bardziej zaboli ją wiadomość, że nasze małżeństwo to czysta fikcja.

- Fikcja? Wprost przeciwnie! - zaprotestował. Uniósł dłoń, na której połyskiwała złota obrączka. - Oto dowód.

- To nie dowód. To tylko złoty pierścionek. Bizuteria.

- Nie, coś więcej. To symbol.

- Tak - zgodziła się. - Symbol mojego i twojego błędu życiowego.

Spuścił głowę, a kiedy ją uniósł, na jego twarzy widniał łagodny uśmiech.

- Co powiesz na chwilowe zawieszenie broni i wspólną kolację? Przygotuję jajecznicę.

- Nie wiedziałam, że umiesz gotować - zdziwiła się.

- Nauczyłem się w czasach uniwersyteckich. Dzisiaj jesteś skazana na moją kuchnię, ponieważ pani Connell taktownie wzięła sobie wolny wieczór, żebyśmy się mogli nacieszyć naszą nocą poślubną.

Dostrzegłszy wyraz przerażenia na twarzy Marin, dorzucił szybko:

- Bez obaw, nie będziesz częścią posiłku - zaśmiał się. - Do zobaczenia za piętnaście minut w kuchni.

Kiedy zjawiała się ubrana w satynowy, szczelnie zawiązany szlafrok, Jake kończył przygotowywać kolację.

- Zjemy tutaj czy w salonie?

- Tutaj.

Jajecznica z dodatkiem chrupiącego bekonu była przepyszna, tak samo jak muśnięte masłem grzanki. Jedli, konwersując na neutralne tematy. Jake opowiadał z humorem zabawne anegdoty z czasów, gdy był studentem w Oxfordzie. Marin pierwszy raz od wielu dni się śmiała.

- Kolacja była przepyszna - pochwaliła go, nie zostawiwszy na talerzu ani okruszka. - Naprawdę umiesz gotować.

Odpowiedział skromnym uśmiechem.

- Napijesz się kawy czy mięty?

- Mięty. Sama sobie zrobię i wypiję w swoim pokoju.

- Nie - zaproponował. - Wypij tutaj. Chcę z tobą porozmawiać.

- O czym?

- Sądzę, że ślub to dobry przyczynek do poważnej dyskusji.

- Teoretycznie, owszem. Ale nasz, nie - odparła cierpko.

Wbił w nią przenikliwe spojrzenie.

- Czy nie chciałabyś nieco zmodyfikować warunków naszej umowy? - zapytał, stawiając na stole filiżanki.

Marin zeszywniała.

- Co masz na myśli?

- Chcę, żebyśmy tę noc spędzili wspólnie.

- Wykluczone! - zaprotestowała z ogniem. - Nie masz prawa żądać takich rzeczy.

- W takim razie, Marin, daj mi to prawo - poprosił dziwnym, niskim głosem. - Kochanie, jesteś moją żoną. Musimy spróbować być razem. - Sięgnął po jej dłoń, którą natychmiast mu wyrwała. - Pozwól mi znowu trzymać cię w ramionach. Proszę tylko o to. O nic więcej. O wspólną noc.

- Noszę w brzuchu twoje dziecko. W zamian za to wymagam tylko tego, żebyś zostawił mnie w spokoju. Na zawsze.

- Marin, tamtej nocy było nam tak dobrze! Cudownie. Przypomnij sobie. Znowu moglibyśmy poczuć tamto... - zawahał się na chwilę - szczęście.

A więc był wtedy szczęśliwy? - pomyślała zdumiona. Nie, nadal odgrywa swoją rolę. Jest w tym doskonały. Nigdy, przenigdy mu nie uwierzę.

Odsunęła z piskiem krzesło i wstała.

- Nie masz prawa mnie do tego zmuszać - oświadczyła lodowatym tonem.

- Zmuszać? - powtórzył. Przez jego twarz przemknął grymas bólu. - Na Boga, Marin, naprawdę myślisz, że chciałem cię do tego zmusić? Pragnąłem jedynie coś ocalić. Dać temu absurdalnemu małżeństwu szansę. Zadałem pytanie i otrzymałem odpowiedź. To koniec. - Przeszył ją ostrym jak brzytwa spojrzeniem swoich błękitnych oczu. - Masz

rację. Wypij miętę w swoim pokoju. Jutro przyjadę popołudniu, by zabrać cię do Harborne. Będziesz miała główny pokój wyłącznie do swojej dyspozycji. Podczas wizyt będę spał w swoim starym pokoju. Odgradzać nas będą grube, wiekowe ściany. Symbol muru, którego nie chcesz zburzyć. - Jego twarz wykrzywił sztuczny, lodowaty uśmiech. - Życzę miłej nocy. Poślubnej.

Odwrócił się i odmaszerował do swojej sypialni.

Nie mogła zasnąć. Gapiała się w sufit. Znała na pamięć każdą drobną plamkę i ryskę, ponieważ spędzała w ten sposób wiele godzin, odkąd wprowadziła się do tego apartamentu.

Moje życie to ruina, pomyślała, stracona na dno nagłej rozpacz, którą przez tyle tygodni powstrzymywała. Ślub już się odbył; oszustwo się udało; teraz tama negatywnych emocji mogła wreszcie pęknąć. Przez chwilę, kiedy jedli wspólnie kolację, kiedy śmiała się z opowieści Jake'a, znowu poczuła to, co tamtej nocy: ciepło, które rozgrzewało jej obrosłe lodową skorupą serce. Gdyby wstał od stołu i wziął ją bez słowa w ramiona, nie stawiałaby oporu. Dałaby mu wszystko. Wszystko, o co by poprosił.

Na szczęście tego nie zrobił. Chwila słabości minęła. Rozpoczął rozmowę, przypominając jej o teraźniejszości, brutalnej rzeczywistości. Nie chciała mu się oddać, ponieważ oczekiwała od niego czegoś w zamian. Seks, jak wiedziała, może być magicznym, niemal mistycznym przeżyciem, lecz żeby coś znaczył, a nie był tylko ulotną rozkoszą, musi mieć trwałe fundament - miłość. Miłość, bez której Marin nie umiała żyć.

A może lepiej okłamać samą siebie, uwierzyć przez chwilę w iluzję i przeżyć kilka cudownych chwil? Zapomnieć, nie myśleć? Znowu poczuć jego twarde ciało, jego ciepły oddech? Osłodzić sobie choć odrobinę całe to cierpienie.

Każdej nocy tęskniła za nim rozpaczliwie, gorączkowo. Dlaczego więc odrzuciłam jego propozycję? - pomyślała. Widziała, że go rozczarowała, może nawet zraniła. Może naprawdę gdzieś głęboko w nim tli się jakieś uczucie? To prawie nierealne, lecz przecież nie można żyć bez nadziei. Tak, dam nam szansę, zdecydowała w duchu i wstała.

Wyszła z pokoju, zanurzając się w mroku, w którym tonęło mieszkanie. Podeszła do jego drzwi. Postanowiła, że nie odezwie się ani słowem. Po prostu położy się obok niego i odda mu się. Otworzyła drzwi jego sypialni. Kotary były rozsunięte, przez okno

sączały się do środka neonowe światła miasta. Jej serce zamarło. Łóżko Jake'a było puste, kołdra nietknięta. Mężczyzna, który od dziś był jej mężem, noc poślubną postanowił spędzić gdzie indziej. Zapewne nie sam, pomyślała, czując przyływ mdłości.

Ich małżeństwo się skończyło, zanim się nawet zaczęło.

TLR

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

- Czy Jake przyjedzie w ten weekend? - zapytała Elizabeth Radley-Smith.
- Nie - odparła Marin. - Podobno nie.
- Ach, doprawdy? - Ton matki Jake'a był surowy. - A jaki powód podał tym razem?
- Żaden. Nie rozmawiałam z nim osobiście. Wiadomość przekazała mi jego nowa asystentka.

Której głosu nie mogę już ścierpieć, pomyślała Marin. Jake zatrudnił nową asystentkę na miejsce Lynne, którą awansował na wyższe stanowisko. Marin nigdy jej nie widziała, lecz nie ulegało wątpliwości, że jest bardzo młoda. I zapewne bardzo atrakcyjna, pomyślała z niechęcią.

Odkąd przeprowadziła się miesiąc temu do Harborne Manor, Marin mogłaby policzyć na palcach jednej ręki wizyty Jake'a. Zawsze przyjeżdżał tylko na jedną noc, którą spędzał, zgodnie ze swoją obietnicą, we własnym pokoju. Unikał przebywania z Marin na osobności. Ani razu nie odbyli żadnej dłuższej rozmowy. Pytał jedynie, jak się czuje. Dowód na to, że interesowało go jedynie jego dziecko - jego potomek, którego matką, jak się akurat niefortunnie złożyło, będę ja, jedna z jego wielu kochanek, myślała ponuro. Nieraz zastanawiała się, z kim Jake spędza noce w Londynie. Była pewna, że nadal prowadzi kawalerskie życie. Przecież nie obiecywał mi, że od tej pory będzie żył w celibacie, pomyślała z palącą goryczą.

Poranków zdecydowanie nie umiłały jej codzienne mdłości. Miała nadzieję, że wkrótce ustaną, ponieważ za kilka dni planowała wyprawę do Londynu, by odwiedzić biuro nieruchomości. Zamierzała sprzedać swoje mieszkanie, które od jakiegoś czasu stało puste. Elizabeth zaproponowała Marin, że podwiezie ją do Londynu, wysadzi przed siedzibą biura na Belgrave Road, a po dwóch godzinach spotkają się we włoskiej restauracji Casa Romagna, gdzie zjedzą wspólnie lunch. Marin przystała na jej uprzejmą propozycję. Doceniała wysiłki pani Radley-Smith, która próbowała się zachowywać tak, jakby Marin była jej prawdziwą, a nie udawaną synową.

Odwykła od londyńskiego pośpiechu, hałasu i ciężkiego powietrza zatrutego spalinami. Dzień był upalny, dlatego z ulgą zanurzyła się w zatłoczonym, lecz chłodnym



wnętrzu restauracji, która była aktualnie jedną z najgorętszych adresów w całym Londynie. Podobno rezerwować stolik trzeba było z kilkutygodniowym wyprzedzeniem. Jakim sposobem matce Jake'a udało się dostać rezerwację bez czekania w kolejce? Zapewne nazwisko Radley-Smith działa jak magiczne zaklęcie, pomyślała Marin.

Przyszła dziesięć minut przed czasem; Elizabeth jeszcze nie było, lecz stolik był już wolny. Usiadła, zamówiła butelkę wody mineralnej i popiła nią tabletkę od bólu głowy. Omiotła wzorkiem wnętrze lokalu, dostrzegając kilka znanych twarzy: słynnego aktora ze swoją najnowszą, dużo młodszą sympatią, popularnego prezentera telewizyjnego oraz modną w tym sezonie gwiazdę rocka. Nagle usłyszała znajomy, wyniosły głos:

- No, proszę, czyż to nie nasza mała, słodka panna Wade?

Marin uniosła wzrok i ujrzała Dianę Halsay.

- Z tą drobną różnicą, że teraz jesteś panią Radley-Smith. I, jak widzę, przyszłą rodzicielką potomka kochanego Jake'a. Bardzo nieładnie z waszej strony, że nie raczyliście zaprosić mnie na ślub. Lubię oglądać przedstawienia. Nawet te amatorskie - dodała kąśliwie.

Marin znowu poczuła przyływ mdłości. Jeśli zwymiotuję, będę celować w jej buty od Jimmy'ego Choo, postanowiła w duchu.

- Dzień dobry, pani Halsay - mruknęła cicho.

- To jest wprost cudowne zrządzenie losu, ponieważ przyszłam tu dzisiaj z moją serdeczną przyjaciółką, a twoją dawną znajomą, która bardzo chciałaby znowu cię spotkać - oświadczyła Diana.

- Słucham? - zapytała Marin w zdumieniu - O czym pani...

Nie dokończyła. Ujrzała nagle Adelę Mason, która kroczyła w stronę jej stolika.

Marin pomyślała, że to tylko jakiś chory, zły sen. Uszczypnęła się w dłoń. Nie, to nie sen...

- Kogóż widzą moje oczy? - Po chwili pisarka odpowiedziała sama sobie: - Marin Wade, tę podłą, małą zdzirę. Wiem od Diany, że udało ci się upolować pewnego milionera i zmusić go do małżeństwa, żebyś mogła dać swojemu bękartowi prestiżowe nazwisko.

Adela Mason nie raczyła nawet ściszyć głosu. Marin dostrzegła, że w ich kierunku spoglądają goście z sąsiednich stolików. Miała ochotę zapaść się pod ziemię.

- Zapewne nie wiesz, że figurujesz w moim pozwie rozwodowym, prawda? Pierwszoplanowa rola, możesz mi wierzyć. Kiedy twój bogaty mąż się o tym dowie, będzie niepokieszony. I szybko wykopie cię ze swojej willi i swojego życia, razem z twoim bękartem.

Marin była w skrajnym szoku. Otworzyła usta, ale nie mogła wydusić z siebie ani słowa.

- Nie udawaj kretynki. Rozstałam się z Gregiem, i to przez ciebie, Marin Wade - syknęła z nienawiścią. - Kiedy ode mnie odszedł, ty za nim pognałaś. Zadbam o to, by każdy się dowiedział, na czele z twoim mężem, jaką jesteś podłą wywłoką.

- To fascynująca opowieść, lecz najpierw proszę mi powiedzieć, kim pani, do diabła, jest - odezwał się niski, męski głos.

Marin gwałtownie spojrzała w bok. Kilka metrów dalej stał Jake. Jego błękitne oczy błyszczały jak lód. Za jego plecami stała Elizabeth.

- Nazywam się Adela Mason - oświadczyła pisarka z dumą. - Jakiś czas temu zatrudniłam tę oto zdziwę, by przepisywała na komputerze moje najnowsze dzieło. Myślałam, że nie umie nawet przeliterować słowa „seks”, dopóki nie przyłapałam jej, jak tarza się goła po łóżku z moim, już niebawem, eksmężem. Radzę panu zrobić test DNA na ojcostwo. Dowie się pan, kto naprawdę zrobił jej brzuch.

Marin wstała, przewracając krzesło. Poczwała na sobie spojrzenia wszystkich dookoła. Ujrzała twarz Jake'a, szarą, jakby wykutą z kamienia, zastygłą w wyrazie skrajnego osłupienia. Chciała się bronić, krzyknąć, że wszystko, co powiedziała Adela Mason, to obrzydliwe, wierutne kłamstwo, lecz nagle poczuła, jak się dusi, chybotze i spada w dół.

A potem wszystko pochłonęła cisza i ciemność.

Głosy z początku były odległe, niewyraźne, lecz po paru chwilach mogła już wyłapać większość słów. Nie mając siły, by podnieść powieki, nasłuchiwała.

- Wyjdzie z tego - odezwał się jakiś kobiecy głos. - To tylko lekkie wstrząśnienie mózgu. Chwilowy uraz. Za kilka dni będzie mogła o własnych siłach wyjść ze szpitala.

- To, co pani mówiła o dziecku... - odezwał się drugi głos, męski, znajomy.

- Niestety, to się często zdarza w pierwszych miesiącach ciąży. Częściej, niż jest pan gotów uwierzyć. Badania wykazały, że w przypadku ciąży pana żony byłoby to nieuniknione. Upadek nie spowodował poronienia, jedynie je przyspieszył. - Milczenie przerwane głośnym westchnieniem. A po chwili: - Może pan iść do domu. Pacjentka jest pod stałą obserwacją.

- Dziękuję, pani doktor.

Zaległa dzwoniąca w uszach cisza.

Marin poczuła, jak jej serce rozpada się na milion małych kawałków, a w brzuchu wiruje czarna, przerażająca pustka. Leżąc nieruchomo, jak ktoś, z kogo uszło wszelkie życie, zaczęła płakać, coraz mocniej, coraz głośniej, aż wreszcie nie zostało jej już ani jednej łzy.

Po godzinie, która wydawała się wiecznością, do pokoju weszła lekarka, która rzeczowym, lecz współczującym tonem przekazała Marin wszystko to, co i tak już wiedziała. W pokoju pozostała pielęgniarka.

- Pani siostra kazała mi to pani doręczyć - powiedziała łagodnym tonem. - Podobno w środku jest trochę ubrań i przyborów toaletowych.

Marin, wykrzywiając z bólu twarz, podniosła się do pozycji siedzącej.

- Lynne tu jest?

- Była, gdy pani spała, ale już poszła. Kazała mi przekazać, że pani mama już o wszystkim wie i z samego rana przyleci do Londynu. - Po chwili dodała: - Przenosimy panią do innego pokoju. To specjalna sala dla wyjątkowych pacjentów. Jest tam o wiele sympatyczniej. Spodoba się pani - dodała pielęgniarka z profesjonalnym uśmiechem.

Dopiero w nowym pokoju, który wyglądał jak apartament w luksusowym hotelu, pomalowany na ciepłe beże, z wielkim oknem z widokiem na park, Marin zajrzała do torby od Lynne. W środku była przepiękna, błękitna koszulka nocna z jedwabiu oraz dopasowany kolorystycznie peniuar. Pielęgniarka pomogła Marin przebrać się w nowe ubrania i uczesać. Następnie ozdobiła pokój kwiatami od bliskich - Elizabeth, Lynne, Mike'a, Sadie i pani Connell. Tuż przy łóżku pielęgniarka postawiła ogromny bukiet kremowych róż, takich samych, jakie Marin trzymała podczas ślubu. Na załączonej karteczce widniało jedno słowo: „Jake”.

Wiedziała, co chce mu powiedzieć. Wszystko dokładnie przemyślała. Kiedy przyszła jej mama, ze łzami w oczach gładząc policzki córki, pocieszając ją i zapewniając, że wszystko się ułoży, Marin zapytała po kilku minutach, czy po wyjściu ze szpitala mogłaby na jakiś czas zamieszkać u niej w Portugalii.

- Oczywiście, kochanie - zgodziła się Barbara, ocierając łzy. - W naszym domu jest zawsze miejsce dla ciebie i Jake'a.

Marin nie chciała jeszcze teraz mówić, że przyleci sama. Jake minął się z panią Wade w drzwiach. Spojrzał na Marin nieprzeniknionym wzrokiem. Usiadł przy jej łóżku, lecz nie wziął jej za rękę. Na samym wstępie oznajmił, że nie uwierzył w ani jedno słowo Adeli Mason. Odetchnęła z ulgą. Zapytał o jej samopoczucie. Była mu wdzięczna za to, że nie wspomina o dziecku.

- Zapytam panią doktor, czy będę mógł wieczorem zabrać cię do domu.

- Nie sądzę, by wyraziła zgodę. Poza tym po wyjściu ze szpitala chciałabym polecieć do Portugalii. Pobyć przez jakiś czas u rodziców. Jeśli nie masz nic przeciwko.

- Oczywiście, że nie mam. Wszystko, co pomoże ci wyzdrowieć, spotka się z moją aprobatą - zapewnił ją.

Uznała, że to odpowiedni moment, by powiedzieć to, o czym myślała prawie bez przerwy przez wiele, wiele godzin, leżąc w tym szpitalnym łóżku.

- Kiedy wrócę z Portugalii, chcę - zawiesiła na chwilę głos - rozwieść się z tobą.

Patrzyła, jak jego oczy błyskawicznie wypełnia najwyższe zdumienie.

- O czym ty mówisz?

- O naszym życiu - odrzekła od razu. - O przyszłości. Wzięliśmy ślub tylko ze względu na dziecko. A teraz... to wszystko już nie ma sensu. Nie musimy już udawać. Możemy zacząć życie od nowa. Oddzielnie.

Jake wstał i podszedł do okna.

- Widzę, że wszystko dokładnie sobie przemyślałaś - wycedził z pogardą.

- Tak. Pewnego dnia spotkasz kobietę swojego życia, Jake. Zostanie twoją prawdziwą żoną. Założysz z nią prawdziwą rodzinę. W murach Harborne Manor zamieszka nowa generacja Radleyów-Smithów.

- To miłe, że poświęciłaś tyle myśli mojej przyszłości - skomentował cierpkim tonem. - A co z tobą, Marin? Ty też kiedyś założysz rodzinę?

- Tak. Oczywiście. W odpowiednim czasie.

Zaległa napięta cisza. Minęła minuta, może dwie.

- Wobec tego... powodzenia. Nie będę utrudniał rozwodu.

- Dziękuję.

Odwrócił się od okna. O dziwo, na jego twarzy gościł łagodny uśmiech.

- Czy możemy nieco poczekać z ogłoszeniem naszych planów? To nie jest najlepszy moment.

- Masz rację - odparła. - Poczekam z tym, aż wrócę do Anglii.

Podszedł do jej łóżka.

- Mój apartament w Chelsea jest do twojej dyspozycji. Aktualnie mieszka tam twoja matka. Obiecuję, że nie będę wam przeszkadzał, dopóki nie odleciecie do Portugalii.

- Ale... - Spojrzała na niego zdziwiona. - Gdzie ty będziesz mieszkał?

- Chyba się zgodzisz, że to nie twój interes, kochanie. - Jego uśmiech ani drgnął. -

Prawda?

Po chwili już go nie było.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

- Dzwonił Jake - oświadczyła Barbara, kiedy Marin wkroczyła do kuchni, niosąc koszyk z zakupami. - Pytał, którym samolotem jutro odlatujesz.

Marin poczuła, jak jej serce na chwilę zamiera.

- Po co mu ta informacja?

- Chyba po to, żeby mógł przyjechać po ciebie na lotnisko. Nic dziwnego. Nie widział cię od ponad miesiąca. - Barbara westchnęła rozdzierająco. - Taka szkoda, że nie mógł tu do nas wpaść.

Marin uznała, że oto nadszedł moment prawdy.

- Kiedy wrócę do Londynu, zamierzam wziąć rozwód.

Gliniany kubek, który trzymała pani Wade, upadł na ziemię i rozbił się z hukiem na tuzin kawałków, po czym zaległa głucha cisza.

- Oszalałaś? Czy to skutek uboczny twojego upadku?

- Przeciwnie - odparła spokojnie Marin. - To całkowicie świadoma i przemyślana decyzja. Chcę wreszcie zakończyć małżeństwo, które nigdy nie powinno było zaistnieć, więc nie ma prawa trwać. To jedyna logiczna konkluzja.

- Do diabła, Marin! Co ma logika wspólnego z miłością?

- U nas nie ma miłości. Tylko udawaliśmy, by to wszystko nie wyglądało tak żałośnie.

Barbara bardzo powoli usiadła na krześle.

- Chwileczkę, dziecko. Chcesz powiedzieć, że poszłaś do łóżka, w którym przez przypadek poczęte zostało dziecko, z mężczyzną całkowicie ci obojętnym? - Pani Wade energicznie potrząsnęła głową. - Za nic w świecie w to nie uwierzę!

- Przykro mi, ale to prawda. On był przystojny i ekscytujący, a ja... naiwna i głupia. Jednonocna, fatalna w skutkach przygoda. Wstydzę się tego.

- Nigdy nie wstydz się tego co ludzkie, Marin - poradziła jej mama. Chwyciła za zmiotkę i zaczęła sprzątać z ziemi kawałki stłuczonego kubka. - Nie możesz zakończyć małżeństwa tak, jakbyś zdejmowała z siebie sukienkę, która na ciebie nie pasuje. Tak nie wolno! Poza tym, co o tym wszystkim myśli Jake?



- W pełni się ze mną zgadza - odparła Marin. Wcale nie chciała, by jej głos zadrżał.  
- Nie ustaliliśmy jeszcze kwestii majątkowych. Ale ja nie wezmę od niego ani grosza. -  
Zaczerpnęła tchu i kontynuowała: - Wrócę do pracy w agencji. Nie sprzedam swojego  
mieszkania, wycofam ogłoszenie. Będę znowu miała własne życie.

- Naprawdę uważasz, że uda ci się, ot tak, wykasować kilka ostatnich miesięcy  
twojego życia, twojego małżeństwa? Łudź się dalej. Choć odradzam - zakończyła ostrym  
tonem Barbara.

Marin patrzyła na nią z niedowierzaniem.

- Mamo, jesteś po jego stronie?

- Nie. Jestem po stronie zasady: „Przemyśl wszystko dwa razy, zanim zrujnujesz  
sobie życie”.

- Zrujnuję sobie życie, jeśli z nim zostanę! - odparowała Marin podniesionym głó-  
sem. - Przepraszam, mamo. Ty go chyba naprawdę lubiłaś...

- Tak. Derek też.

- Jake potrafi każdego oczarować. Zwłaszcza kobietę.

- Tu nie chodzi o to - zaprzeczyła pani Wade. - Córeczko, miałam szczęście być  
żoną dwóch wspaniałych, choć skrajnie różnych, mężczyzn. Żaden z nich jednak nie  
zdobył się na taki gest jak Jake. Odważyć się nie tylko wejść do sklepu odzieżowego, ale  
przede wszystkim wyjść z niego z naręczem pięknych ubrań dla ukochanej żony. To bez-  
cenne!

- Przecież to Lynne kupiła mi te rzeczy - zaprotestowała Marin.

Barbara pokręciła głową.

- Ona jedynie przyniosła je do szpitala. Wszystko, co było w tych torbach, wybrał i  
kupił twój mąż.

- Och. - Marin przygryzła dolną wargę, która nagle zadrżała. - Dlaczego się nie  
przyznał?

- Sama go o to zapytaj, kiedy go spotkasz. - Pani Wade westchnęła rozzłością. -  
Boże, jaka szkoda! Była z was taka piękna para...

Marin miała wrażenie, że nie była w tym mieszkaniu od stu lat. Tu się wszystko zaczęło. Tu poznała Jake'a. Wiele by dała za to, aby cofnąć czas. Wróciła do Londynu, by odzyskać wszystko to, co utraciła. Swoje mieszkanie, swoją pracę, swoje życie. Słowem: siebie. Wierzyła, że jej się uda. Czowała to w głębi serca.

Teraz jednak, nie w sercu, lecz w brzuchu, poczuła prozaiczny głód. Już chciała zadzwonić po pizzę, gdy odkryła, że lodówka jest pełna jedzenia: jajka, bekon, sok pomarańczowy, warzywa i owoce. Czyżby Lynne specjalnie dla niej zrobiła zakupy? Podziękowała jej w myślach. Zaczęła rozpakowywać swoją walizkę, gdy nagle usłyszała, jak ktoś otwiera drzwi mieszkania. To na pewno Lynne przyszła ją powitać.

- Jestem tutaj, Lynne! - zawołała.

- Widzę.

Gwałtownie odwróciła głowę. W progu pokoju stał Jake. Był ubrany w granatowy, prążkowany garnitur, trzymał w dłoni skórzaną torbę podróżną. Na jego widok serce Marin odruchowo szybciej zabiło. Zdążyła już nieco zapomnieć, jak bosko przystojnym mężczyzną jest jej mąż. A już wkrótce, były mąż.

- Dobrze wyglądasz - rzekł, przyjrzawszy jej się uważnie. - Do twarzy ci z opalenizną.

- Dzięki.

Wskazała ręką na torbę, którą trzymał w dłoni.

- Przywiozłeś moje ubrania, które zostawiłam w Harborne? - zapytała.

- Nie. To moje ubrania.

Podszedł do szafy i otworzył ją.

- Ja biorę prawą stronę - oświadczył.

- Słucham? Nie rozumiem.

- Musimy się zmieścić w jednej garderobie. Ja biorę prawą stronę.

- Nie rozumiem. - Jej oczy były okrągłe ze zdumienia.

- Wprowadzam się - rzucił lakonicznie. - Będziemy tu zupełnie sami. Tylko ty i ja. Możemy udawać, że to nasz miesiąc miodowy. - Odwrócił się i zatopił w niej poważne spojrzenie. - Ale to jedyne udawanie, które będę tolerował.

- Ale przecież... bierzemy rozwód!

- Nie. To znaczy, jeszcze nie. Najpierw musimy dać szansę naszemu małżeństwu.

- To jakiś żart?

- Bynajmniej. - Podeszedł do niej blisko, bardzo blisko. Czowała jego zapach, jego oddech. Zadrżała. - Wszystko sobie przemyślałem. Miałem dużo czasu, cały miesiąc. Kiedy straciliśmy dziecko, a ty powiedziałaś, że nic już nas nie łączy, i że nie chcesz mnie znać, poczułem, że rzeczywiście powinienem zniknąć z twojego życia w nadziei, że kiedyś, z kimś, będziesz szczęśliwa... Ale po kilku dniach, trawiony przez tęsknotę za tobą, zacząłem myśleć bardziej egoistycznie. Wiedziałem, że bez ciebie będę wiecznie nieszczęśliwy.

Mówił coraz szybciej, coraz bardziej gorączkowo.

- Przypomniałem sobie naszą wspólną noc. We wszystkich najdrobniejszych szczegółach. Tamtej nocy miałem wrażenie, że jestem w raju. Z tobą. Czuję, że jesteśmy sobie przeznaczeni. - Jego usta ułożyły się w łagodny uśmiech. - I nadal tak czuję. Dlatego nie odejdę. Chcę odzyskać moją Marin. Tę słodką, niewinną, niesamowitą dziewczynę, którą wtedy trzymałem w ramionach. Pragnę ciebie, kochanie. Pragnę cię mieć do końca życia. Chcę mieć z tobą wspólny dom, i pomimo tego, co się nam przytrafiło, założyć z tobą rodzinę. Chcę...

Przerwał nagle. Po jej policzku popłynęło kilka łez.

- Dlaczego płaczesz? - Posadził ją na sofie i usiadł tuż przy niej. - Czy naprawdę nie jesteś w stanie dać mi kolejnej szansy?

- Jake, przecież ty nie mówisz poważnie - odrzekła, dławiąc się łzami. - Przecież ciągle udajesz... Dlaczego mi to robisz?

- Ja? Udaję?

- Przecież tamtej nocy nawet nie chciałeś się ze mną kochać... To ja się na ciebie rzuciłam. To ja...

Położył palec na jej drżących ustach.

- Wybacz, ale to nonsens! Spędziliśmy wspólną noc, ponieważ na twój widok płonąłem z pożądania. Pragnąłem cię dotykać, całować. Nie mogłem tego opanować. Nie chciałem. Byłaś taka namiętna, wspaniała. A następnego dnia... zimna jak lód. Nie rozumiałem, skąd ta zmiana. Do dziś nie rozumiem - dodał ponuro.

- To przez Dianę - wydukała. - Spotkałam ją tamtego ranka. Usłyszałam od niej straszne, ohydne rzeczy. Powiedziała, że nic do mnie nie czujesz. Że zrobiłeś to z litości. Że co najwyżej mogę być przez krótki czas twoją zabawką.

- Uwierzyłaś jej?

- Tak.

- Mogłem się domyślić. Diana Halsay, ta podła, zawistna... - Ugryzł się w język, choć miał ochotę zakląć siarczyście. - Dlaczego mi nie powiedziałaś? Gdybym wiedział, co się kryje za twoją nagłą przemianą, uniknęlibyśmy tylu nieporozumień, tyle cierpienia.

Marin wbiła wzrok w podłogę.

- To bez znaczenia. Ożeniłeś się ze mną tylko dlatego, że zaszłam z tobą w ciążę.

- Ależ nie! - zaprzeczył z żarem. - To tylko wszystko przyspieszyło o kilka miesięcy. Poza tym bałem się, że nie zgodzisz się na małżeństwo na innych, zwykłych warunkach. Gdybym wyjawiał ci prawdę, że od samego początku chciałem się z tobą ożenić, a dziecko było jedynie dodatkiem, to czy uwierzyłybyś mi? Powiedz szczerze.

Po dłuższym namyśle odrzekła:

- Pewnie nie.

- Tak myślałem - rzekł z kwaśną miną. - Wielokrotnie podkreślałaś, że nasza wspólna noc była błędem. A potem zniknęłaś bez słowa, wyjechałaś do Essex. - Westchnął ciężko. - Nigdy jednak nie podejrzewałem, że kilka podłych kłamstw z ust Diany mogłoby cię tak do mnie zniechęcić.

- Przepraszam - wydukała.

Ujął jej twarz w swe dłonie, zaglądając jej głęboko w oczy.

- Nie przepraszaj, tylko do mnie wróć. Tak potwornie pragnę cię pocałować i kochać się z tobą, że chyba zaraz oszaleję. Pozwól więc, że powiem jeszcze kilka rzeczy, dopóki jestem w stanie myśleć trzeźwo.

Uśmiechnęła się do niego i skinęła głową.

- Nigdy nie spotkałem kogoś, kto by mnie dotknął tak jak ty. Tam głęboko, najgłębiej. Kto by zapalił we mnie światło. Tu, w środku. - Dotknął swojej piersi. - Kiedy

wszedłem do swojego firmowego apartamentu i ujrzałem dziewczynę owiniętą jedynie ręcznikiem, która warczała na mnie jak dziki kot... coś we mnie drgnęło.

Wydała z siebie ciche westchnienie.

- Chcesz powiedzieć, że już w tamtym momencie zakochałeś się we mnie? - zapytała z niedowierzaniem.

- Na początku marzyłem tylko o tym, żeby zedrzeć z ciebie ten ręcznik - przyznał z uśmiechem. - Dopiero podczas przyjęcia dotarło do mnie, co tak naprawdę czuję. Uzmysłowiłem sobie, że wreszcie cię znalazłem. Tę, której szukałem. Tamtego wieczoru byłaś niesamowita. Tak dobrze udawałaś moją nową kochankę, że co chwila sam się na to nabierałem i miałem ochotę wziąć cię w ramiona i nigdy z nich nie wypuścić. Nie chciałem przyjąć zaproszenia od Grahama. Wiedziałem, jakie z tym wyjazdem wiąże się ryzyko. Nie mogłem jednak przepuścić szansy spędzenia z tobą paru dni. W drodze do domu pomyślałem, że zabiorę cię do Harborne. Chciałem przedstawić mojej mamie dziewczynę, w której się zakochałem. Powiedzieć jej, że stał się cud, znalazłem kobietę, która zostanie moją żoną! Zgubiła mnie arogancja. Wszystko popsułem. Straciłem szansę na to, byś się we mnie zakochała. Znienawidziłaś mnie.

- Nie - zaprzeczyła. - Broniałam się przed tobą. Dla własnego dobra. Podczas naszej rozłąki ani przez chwilę nie przestałam o tobie myśleć. I ciebie pragnąć. Ale bałam się nazwać to miłością. Łudziłam się, że jakimś cudem o tobie zapomnę... - Spuściła głowę. - W naszą noc poślubną, po naszej rozmowie, poszłam do twojej sypialni. Chciałam ci powiedzieć, że zmieniłam zdanie i chcę ją spędzić z tobą. Ale ciebie nie było. Wiem, że nie mam prawa o to pytać, ale... gdzie wtedy byłeś?

Zaśmiał się gorzko.

- Niedaleko. Siedziałem w kuchni, po ciemku, wlewając w siebie butelkę szkodliwej. Myślałem, że moje życie się skończyło. Dopiero po twoim wyjeździe do Portugalii zrozumiałem, że nie mogę się poddać i muszę do końca walczyć o nasze małżeństwo. Walczyć o ciebie... z tobą. Do ostatniej kropli nadziei.

Marin oplotła ramionami jego szyję. Czowała bicie jego serca przenikające się z biciem jej serca.

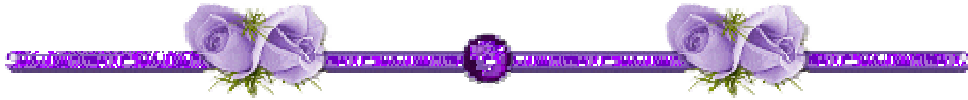
- Już nie musisz. Wojna się skończyła, Jake. - Na ustach Marin zakwitł szeroki uśmiech. - Co powiesz na to, żebyśmy to jakoś uczcili?

Jake wstał, trzymając ją w swoich ramionach i pożerając ją wzrokiem.

- Uczynię to z dziką rozkoszą - odparł zmysłowym głosem.

Marin tym razem uwierzyła mu całym sercem.

Sercem, które należało do niego: od zawsze i na zawsze.



TLR